№ 5 Warszawa, dnia 23 Stycznia (4 Lutego) 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MYŚLI O STOWARZYSZENIACH.

(Dokończenie.)

Towarzystwa spożywcze, których towar opłacany jest gotówką po cenach zniżonych, rozrzucone są po całej Anglii. Liczba fabryk robotników stowarzyszonych coraz więcej wzrasta. Stowarzyszenia budowlane zorganizowały się w wielu miejscach kraju. Liczba szkół, bibliotek zakładanych przez towarzystwa, powiększa się z każdym rokiem. Nakoniec wyżej wymienione zjednoczenia zdrowo myślących jednostek, mnożą się z taką szybkością, że co kwartał prawie trzebaby zmieniać liczby zapisane. W roku 1864 było ich 800, miały 200,000 członków, w kilka lat później liczba ich wzrosła do 800,000.

Ten sam prąd zbawienny potężnie czuć się daje w Niemczech, a kto wie czy nie z większą jeszcze objawia się tu siłą.

Pierwsze stowarzyszenie założone zostało w 1850 roku. W czternaście lat później było ich 850, w rok potem 1,200, w roku 1870 utworzyło się 350, to jest prawie jedno codziennie. Dzisiaj prawdopodobnie, stowarzyszenia w Niemczech liczą się na tysiące; są to po większej części banki kredytowe.

W roku 1864 połowa 900 istniejących towarzyst przesłała sobie wzajemnie sprawozdania, z których się pokazało, że pożyczyły swoim członkom 180 milionów franków.

Jest to liczba nietylko zdumiewająca ale zarazem i pocieszająca ludzkość, objawiająca jej faktycznie: że kredyt to rozdanie chleba życiodawczego członkom pracującym, to zapewnienie pracy i zaufanie wzajemne, to wreszcie taktyka społeczna. zaprowadzona we wszystkich usiłowaniach i sprawach ludzkich.

We Francyi ojczyźnie stowarzyszeń doskonale uorganizowanych, tak pod względem teoryi jak zastosowania, pierwsze podobne zjednoczenie miało miejsce w roku 1845, we dwa lata po założeniu stowarzyszenia Roczdelskiego.

Stowarzyszenie przemysłowe i rolne Beauregard, które jest zarazem zjednoczeniem spożywczem, domowem, handlowem, produkcyjnem i zbywającem, nakoniec rolnem, kredytowem jako też i zaliczkowem wreszcie towarzystwem zawiązanem w celu wychowawczym i edukacyjnym, uważanem być może jako wzór wszystkich stowarzyszeń.

Obecnie istnieje we Francyi do 6,000 stowarzyszeń; spożywcze będące zarazem kasami oszczędności, podające najlepsze środki do przyjścia do własności, tworzą się w rozmaitych miejscach. Prócz tych czynnemi są we Francyi towarzystwa wzajemnego kredytu, i inne niemniej dobroczynne, które nadadzą kredytowi wzajemnemu francuzkiemu rozwój również silny jak banki ludowe w Niemczech.

Co do towarzystw produkcyjnych we Francyi, dochodzą one do stu, rozmieszczonych tak w Paryżu jak w innych departamentach.

Ale najlepiej urządzonemi stowarzyszeniami są te, które się zawiązały w celu budowli domów.

Każdy śledzący w ruchu ludzkości postęp prawdziwy, objawiający się pod rozmaitemi kształtami, zna zapewne z opisu to szlachetne przedsięwzięcie, które sobie przyjęło za święte błogosławione zadanie, dać każdemu biorącemu udział w pracy życia, miejsce dla złożenia głowy.

Stowarzyszenie zawiązane w tym błogosławionym celu, zbudowało w 1864 roku 700 domów, których liczba doszła wkrótce do 830, z tych 800 zostało sprzedanych członkom stowarzyszenia, według przyjętej normy.

Ileż to głów tym sposobem znalazło obronę od nędzy, może upadku. A cel ten osiągnęła nie pomoc miłosierdzia, tak upakarzająca dusze szlachetne, tak wysuszająca częstokroć wszelkie uczucia wznioślejsze, ale moc bratniego stowarzyszenia chroniąca skutecznie od ubóstwa, niedoli, podnosząca dusze zwątlałe, chore, wracając im życie, siłę moralną, moc duchową.

W innych krajach jako to: w Holandyi, Belgii, Szwajcaryi, Norwegii i we Włoszech, ruch stowarzyszeń przebiega mniej więcej te same fazy. Wyliczanie ich przeszłoby o wiele zakres mej drobnej pracy. Nie mogę jednakże pominąć milczeniem dobroczynnych usiłowań w celu rozszerzenia tak umysłowej jak ręcznej pracy kobiet.

W Holandyi pismo peryodyczne redakcyi kobiet pod tytułem: „Nasze usiłowania”, wywołało zawiązanie się towarzystwa: *Praca uszlachetnia*, do którego przystąpiło ogólne stowarzyszenie kobiet niderlandzkich. Ma ono komitety po większych miastach Holandyi, a zrobiło sobie chlubne założenie, popierania pracy kobiet. Towarzystwo działanie swoje uskutecznia odczytami, a pracę zarobkową kobietom ułatwia za pomocą wystaw, konkursów i zapomogi; wskutek czego rozwijają się szkoły dla dziewcząt, w których uczą się tego wszystkiego, co je uszlachetnia i chleb w przyszłości zapewnia.

I we Włoszech kobiety same wywołały ruch ten błogosławiony; podniósł się on świetnie, niby kwiat wspaniały, długiego potrzebujący czasu do rozkwitu i wydania owoców. Kobiety włoskie pojmować zaczynają: że na nich spoczywa odpowiedzialność prawdziwego odrodzenia się ich pięknej ojczyzny, tak bogato uposażonej od natury. I tak pisma peryodyczne redakcyi kobiet, pierwsze rozbudziły życie w świecie niewieścim.

Stowarzyszenia ułatwiają nietylko rozszerzanie pracy kobiecej, ale zakładają liczne szkoły tak niższe jak wyższe.

Anglia i Niemcy dały tym ruchom wzór i popęd, i kraje te pierwsze i jedyne dotąd, nie zapomniały o zawiązywaniu stowarzyszeń dla nauczycielek, budowaniu dla nich domów, dla tych zmordowanych niekiedy Syzysową pracą, tak użytecznych a najmniej uprzywilejowanych od losu, cichych pracowniczek Bożych.

Co do stowarzyszeń istniejących u nas, jest ich tak mało, że i pomówić o nich niewiele co można.

Oprócz stowarzyszeń biorących w opiekę rolnictwo, przemysł, oświatę, stowarzyszenia kobiet obywatelek, w celu podniesienia gospodarstwa niewieściego, do którego załączam: ogrody tak warzywne jak owocowe, pielęgnowanie kwiatów na wielką skalę, chodowanie drzew, zakładanie pasiek, chmielników, pielęgnowanie jedwabników, nakoniec mleczywo, nie mniejszej są doniosłości na dobrobyt ogółu. Niedosyć, stowarzyszenia podobne otworzyć mogą kobietom nowe drogi i dopomódz im do stania się wielce użytecznemi członkami społeczeństwa.

Szlachetny i wielkiej wagi współudział i działalność kobiet w towarzystwach wyżej wymienionych, podnosząc stowarzyszone we własnych oczach, uchronią je również od błahego zapatrywania się na życie, ustrzegą od zbytków, lekkomyślności i dadzą ich dążeniom nowy a pewny punkt oparcia.

Sama wymiana myśli na zebraniach w czasie narad, wywarłaby wpływ zbawienny na umysły, nadając życie i ruch miejscowości.

Kto wie czy stowarzyszenia podobne nie przyczyniłyby się do usunięcia drożyzny niesłychanej, stojącej dziś na drodze powszechnego dobra.

Przebiegłszy w krótkości rozmaite stowarzyszenia, dotknąwszy z lekka ich dziejów, zwróćmy teraz pilną uwagę na to, co one zdziałały i co jeszcze zdziałać mogą. Stowarzyszenia przelały kapitał będący w rękach kilku, w milion dłoni połączonych, w jednym celu dobrym, uwolniły od wszechwładztwa finansowego, który ciężył dotąd nad wszelkim ruchem przemysłowym i handlowym, ze szkodą ogółu jednostek. Przez kasy oszczędności codziennych, wdrażają masy całe do porządku, pracy, oszczędności, moralności, do zwyciężania lenistwa, chęci niegodnych. Niejeden stowarzyszony, zagrzany dobrym innych przykładem, wróciwszy na drogę moralności, zyskał ufność, a tym sposobem przyczynił się do wzmocnienia ufności i kredytu ogółu.

Stowarzyszenie dając możność swoim członkom pomnażać grosz zaoszczędzony, zapewniając im kredyt, pozwala stać się posiadaczami własnej strzechy, przy wniesieniu na początku jak we Francyi, kilkuset franków, tym sposobem zjednoczenie tworzy ogniska domowe.

Niedosyć, stowarzyszenie wprowadzi kiedyś w czyn szlachetne dążenie Juljusza Simona, który pragnął: aby rodziny należące do towarzystw nie były zmuszone pracować po za obrębem ogniska domowego. Piękne to marzenie Anglia w rzeczywistość zamienić pragnie. Stowarzyszenie robotników angielskich zbudowało małe, przenośne warsztaty, opatrzone narzędziami działającemi za pomocą pary, które to warsztaty wynajmują się rodzinom całym. Tak więc święte ognisko domowe stanie się miejscem pracy.

Stowarzyszenie dając możność utworzenia ogniska domowego ciężko pracującym na życie, nie opuszcza użytecznych robotników na roli Bożej, zmniejszając 16 godzin tyrańskiej dawnej pracy, na 10 i pół. Obecnie w Ameryce, o ile mi wiadomo, liczbę godzin w fabrykach zredukowano do 8, pozwalając tym sposobem robotnikowi nietylko wypocząć po trudach dziennej pracy, ale i wzmódz siły duchowe strawą odrobiny wiedzy.

Stowarzyszenia wpłynęły potężnie na moralność, dobrobyt, oświatę ogólną szczególniej w Stanach Zjednoczonych, przyjmując pod macierzyńską opiekę tysiące młodych dziewcząt robotnic, w doskonale urządzonych domach opieki, gdzie z rozwinięciem sił fizycznych, rozwijają umysł, zabezpieczając przytem przyszłość swoją i rodziny. Takim idealnem miastem jest Lovel w Stanach zjednoczonych Ameryki północnej, zamieszkany wyłącznie przez robotników fabrycznych, odznaczających się moralnością, pewną podniosłością umysłu, zdrowych tak duchem jak ciałem.

Jeżeli teraz przejdziemy od szczegółów do ogółu, ujrzymy szczególniej w Europie i Ameryce potężny prąd ożywczy, który bratnio obwiewa piersi całej ludzkości, przyspieszając bicie jej serca.

Już nietylko w dziedzinie przedsiębierstw, mających na celu rozszerzenie ekonomicznych stosunków społeczeństw całych, ich wzajemnej jedności, ale i na dzodze intelektualnej w dziedzinie ducha, budzi się potężnie ruch stowarzyszeń. Nie ograniczając się na dotychczasowych towarzystwach literackich, artystycznych, filantropijnych, przywiązanych do miejscowości, duch zjednoczenia przekracza granice, staje się, że tak powiem, kosmopolitycznym, w znaczeniu wyższem, pojętem po bratersku, po chrześciańsku. Ruch ten łączy dłonie rozdzielone mil tysiącami, już to dla obtarcia łez, położenia balsamu na rany zadane klęskami głodu, pożogi, wylewu wód, jednoczy umysły dla wspólnego celu, a którym jest nauka, jeden z najznakomitszych dyamentów życia. Zjazdy naukowe, jubileusze oddające cześć przodownikom ludzkości, są to już zjednoczenia ducha, które ogarniają ludzkość całą.

Stowarzyszenia dokazawszy tyle, ulegną powszechnemu prawu rozwoju, działać odtąd będą w stosunku, że tak powiem, kwadratu z odległości. Czy nie wolno mi pobujać trochę fantazyą, bo jak wyżej powiedziałam nie piszę traktatu, ale wysnuwam tylko z duszy, pragnącej dobra powszechnego, myśli swobodnej.

Otóż, czy stowarzyszenia ogarniając coraz szerszy horyzont duchowy, nie połączą wiele umysłów, dziś pracujących osobno, nad jakąś specyalną nauką, odkryciem, wynalazkiem, mającym wzbogacić ducha ludzkości, lub uczynić milszem, łatwiejszem jej życie, tak dotąd twarde dla większości.

Tym wielkim, połączonym przodownikom i dobroczyńcom ludzkości, nie będzie szło o sławę osobistą, jak niegdyś pierwotnym poetom, których imiona ginęły, zlewając się w imieniu narodu, ale o dobro społeczeństwa, które zbiorowemi siłami ducha oświecą, niby złotemi promieniami, co się zleją w jedno słońce ducha.

Za ich przykładem połączą się duchem społeczeństwa całe, zwrócą bratnio oczy, z których powoli schodzić poczyna katarakta duchowa, na to wszystko, co tamuje postęp ludzkości, nie pozwala jej rozwijać się w pełni życia i szczęścia duchowego. Zwrócą pilniejszą, więcej chrześciańską uwagę na ludzką niedolę, na te wszystkie przybytki nędzy, które zabierają w kwiecie życia, tysiące istot rozumnych, mających prawo do wyższych uciech życia.

Zwrócą nakoniec zjednoczone myśli, serca i duszy, na przepaście ciemnoty i nędzy moralnej, usuwając połączonemi dłońmi wszystko to z drogi, która tylko w górę wieść powinna, co człowieka poniża iściera z jego szlachetnego oblicza, znamię godności człowieczej.

Okiem ducha widzę to wszystko spełnione siłą cudu stowarzyszenia. Ostre kontury machiny społecznej tracą swoje chropowatości, nabierając harmonii łagodnej a błogiej.

Śliczne kwiaty życia, niebiańskie rozkosze ducha, będące dotąd wyłącznym przywilejem dotychczasowych wybrańców ślepego losu, niby siedmiobarwny łuk pokoju, zatacza swoje cudne półkole, już nietylko nad pałacem bogacza ale i nad słomianym dachem, i nad skromnym domkiem dawnych czasów biedaka.

Nie ma w znaczeniu moralnem, tak zwanej po kastowemu klasy niższej, są tylko ludzie, biorący udział w pracy dla dobra ogółu, na wspólnej, rozległej niwie Bożej, według sił swego moralnego i duchowego ukształcenia.

Stowarzyszenie spełni jeszcze rozleglejsze zadanie: wyzwalając masy całe z duchowej niewoli, zapewniając im wyższe życie ducha, wywalczone przez mniej ciężkie i gorzkie warunki bytu materyalnego, dając jednem słowem trwałe szczęście społeczeństwu, narodowi całemu, dążyć będzie tem samem do stowarzyszenia duchowego wszystkich ludów, w duchu miłości, prawdy i sprawiedliwości dla wspólnego dobra całej ludzkości.

Józefa Żdżarska.

DUMANIE.

Czemu mi smutno? — Czemu serce moje,
Zewsząd spotkały troski, niepokoje,
Czemu je gnębi straszna przeczuć mara,
Czy to za winy prapradziadów kara?
Czemu te widma oblegają duszę,
Czy niczem nigdy mocy ich nie skruszę?

Czemu mi smutno?—zkąd te łzy w źrenicach,
W sercu zwątpienie, a bladość na licach? —
Czy widok ciągłych przeciwności koła,
Do duszy mojej gra tylko i woła
Echem zwątpienia? — A gdzież moja siła,
Gdzie wiara w młodość? — Czym ją już prześniła?

. . . .

Precz z moim smutkiem, — rozwiejcie się mary,
Co całe życie trujecie goryczą,
Niech się dziś z wami policzą
Zastępy siły, energii i wiary. —
Och! wasze szpony dużo krwi wyssały,
Zatruły każdą swobodniejszą chwilę,
A wzamian i cóż mi dały?
Gorzkie zawody, trosk i zwątpień tyle.

Więc precz z mym smutkiem, — precz z wrogą potęgą,
Co się przez życie czarną wije wstęgą,
Ubezwładniając energią i wolę, —
Dalej do lotu! — chyżo mój sokole,
Zerwij te pęta, rzuć smutki i żale,
Z uśmiechem wiary, idź w życie wytrwale.

Natalia Krz....

LENA.

NOWELLA

ZORJANA.

(Dokończenie).

Po jednej stronie na wzgórzach rozrzucone wille i pałacyki, wyżej jeszcze klasztory i ruiny, po drugiej miasto Como, złożone z zabudowań starej dziwnej architektury, od której nieodłączny jest włoski nieporządek. Środek w kotlinie zajmuje jezioro, nad którego lśniącą falą unoszą się romantyczne Alpy.

Woda miękko odbija promienie zachodzącego słońca, w dali widać leciuchną mgłę, która zalotnie osłania czarujące wybrzeże. Łodzie snują się samotnie po przestronnych falach; jedne ciągną już do portu, inne wyruszają dopiero na pełne jezioro.

Dziwny, niedający się opisać urok, ma taki wieczór. Światła jeszcze pełno, słońce jakby z żalem kryje się za górę, czasem jeszcze jakby ostatniem spojrzeniem pokaże się promień, który rozpryśnie wodę, rzuconą wiosłem w barwy tęczowe. i ginie w modrej toni.

Łódź, zdobna kształtem weneckiej gondoli, sunie się zwolna po fali. Przewoźnik, oparty o wiosło, zdaje się, ledwo dotyka powierzchni jeziora. Twarz jego pogodna, swobodny wśród przyrody swych ukochanych Włoch, śpiewa pieśń rodzinną. Sympatyczny, pełny głos barytonowy płynie spokojnie, a odbijając od gładkiej fali, zdwaja melodyjność pieśni.

W łodzi siedzi Ryszard, a twarz jego piękna dziwnie licuje z cichą przyrodą. Oko tonie gdzieś w dali, dłoń jedna wspiera pochyloną głowę, druga spoczęła na sercu. Smutek jego przyoblekł się teraz spokojem, zamyślenie zajęło miejsce bólu. Czy to wpływ przyrody, wśród której teraz żył, czy może spokoju, który na chwilę zawitał, twarz jego wypiękniała i nabyła uroku, coś było w niej bajronowskiego romantyzmu. Na oku, co patrzało w dal, może z tęsknotą do kraju, może do czego innego... zalśniła łza.

Przy ojcu siedziała Lena. Jedwabne włoski spływały na ramiona, biała twarzyczka jaśniała zachwytem, oczki modre, smętne, marzące, patrzały przed siebie. Rączęta złożyła na kolanach, i siedziała zupełnie nieruchomie.

Gondola sunęła bardzo powoli, pieśń włoska cicho płynęła po fali, wszystko dookoła, jakby w czarodziejskiem spoczęło uśpieniu.

Nieznacznie, zwolna zbliżała się z boku łódź druga. Siedziały w niej dwie kobiety, obie czarno ubrane. Jedna z nich starsza, zdawała się błądzić okiem po wybrzeżu, druga znacznie młodsza, a bardzo piękna, trzymała w ręku książkę z której czytała. Twarz jej była niezwykła, bo piękno prawie klasyczne, łączyło się ze smutkiem, który całej postaci się udzielał. Oko spuszczone przysłonięte było długą rzęsą, lecz można było się domyśleć, że oko to piękne i że w niem nietrudno by dopatrzeć dopełnienia tego smutku. Cała postać zdawała się mówić, że ta kobieta wiele przebolała.

Łodzie zbliżały się coraz bardziej; już prawie dotykały bokami, gdy Lena podniosła się z siedzenia i z ciekawością przypatrywała obom paniom. Osobliwie zajęła ją młodsza, która w tej chwili podniosła wzrok od książki i piękną twarz swą zwróciła ku Lenie.

Lena oparła się o krawędź, gdy wioslarz silniej uderzył o falę, aby łodzie się nie zetknęły. Łódź zwróciła się nagle, a w tejże samej chwili Lena, która z młodej kobiety nie spuszczała oka, krzyknęła:

— Mama!...

Krzyk ten obudził ojca z zamyślenia, rzucił się ku córce, lecz nie zdołał jej pochwycić, łódź zbyt silnie pochyliła się przy zwrocie, w tej chwili Lena dotykała rozpostartemi rączkami fali.

Łodzie były tak blizko siebie, że kiedy jedna usuwała się w bok, druga nieco ku niej podpłynęła. W tym samym momencie, w którym Lena krzyknęła i straciła równowagę, młodsza kobieta rzuciła się ku niej i cudem prawie pochwyciła rąbek sukienki dziecka.

Wszystko to stało się w jednej chwili.

Silnym rzutem rozkołysane łodzie oddaliły się od siebie. W pierwszej, Włoch zaprzestał pieśni i trzymał drżącą dłoń Ryszarda, w drugiej przyciskała młodsza kobieta Lenę do piersi sama prawie ze wruszenia nieprzytomna. Starsza ocierała towarzyszkę dziewczęcia, a pod wpływem przelęknienia nie wiedziała jak radzić. Łódź ich zatrzymała się zupełnie; Lena przerażona otworzyła oczęta, drobne usteczka świeżego zaczerpnęły powietrza lecz dłonie, które ją do serca przyciskały, zaczęły słabnąć i młodsza kobieta śmiertelnie blada pochyliła się wraz z nią.

Położenie było okropne. Starsza pani niewiedziała jak swą towarzyszkę przywołać do przytomności. Tymczasem ich przewoźnik snać obznajmiony był ze sposobami lepiej. Trysnął świeżą wodą na twarz i ujął mały palec lewej ręki silnie w swą dłoń. Istotnie udało mu się. Młoda kobieta otworzyła oczy.

— Panno Eleonoro, co pani jest — zapytała starsza.

— Ach — odetchnęła zapytana, lecz odpowiedzi jeszcze dać nie mogła.

Kilka chwil jeszcze upłynęło zanim ochłonięto z pierwszego wrażenia.

A Ryszard?

Pochylony ku łodzi, w której znajdowała się jego Lena, patrzał dziwnie płomiennym wzrokiem, zresztą zupełnie był bezwładny.

Przewoźnik ruszył łodzią ku paniom, bo rozumiał naturalnie, że ojciec zechce jak najprędzej zobaczyć swą córkę i odwieźć ją do domu.

Byli znowu blizko.

Starsza pani zajęta jeszcze Leną, którą otulała, nie mogła zwracać uwagi na drugą łódź; młodsza którą nazwała Eleonorą, nie chciała z rąk puścić dziecka i tak niem była zajętą, że ani zważała zbliżenia się jej.

Ryszard był już blizko. Patrzał, patrzał i nie mógł oka oderwać, ale głos zdawało się że zamarł mu w piersi. Po chwili dopiero wyszeptał cicho:

— Leno...

Lena odwróciła główkę ku ojcu, a Eleonora, na której kolanach spoczywała, drgnęła na to wołanie. Dziecko chwilę popatrzało błędnie, poczem rzuciło się na szyję Eleonorze i łkając konwulsyjnie wołało:

— Mamo moja, mamo!

Trudne było wyjście z tego położenia. Nikt nie mógł zdobyć się na pierwsze słowo.

Eleonora spoczęła bezwiednie zimnem czołem na rękach swej starszej towarzyszki, a przewoźnik Ryszarda złożywszy na jego kolanach Lenę, uderzył silnie wiosłem, aby co prędzej dobić do portu. Lena już teraz nie opierała się, bo siły dziecięce wyczerpał przestrach i przeziębienie.

Chwil jeszcze kilka i byli u portu. Ojciec na rękach zaniósł Lenę, która tuliła się do jego piersi; czuł dreszczem przebiegające zimno, podczas gdy główka dziecięcia paliła się gorączką.

Do mieszkania było niedaleko. Ryszard biegł co tchu, a zmęczenie i niezwykłe wrażenie tak silnie się teraz odezwały, że złożywszy Lenę na łóżeczku, bezwładnie prawie przykląkł przy niem.

O zaradzeniu niebezpieczeństwu, o pomocy lekarza pomyślała dopiero służba. Nic dziwnego, oni nie czują bólu, w ich serca wypadki nie uderzają gromem, więc też i zimnej krwi, przytomności nie tracą.

Wkrótce przybył lekarz, śledził pierwsze objawy choroby, wypytywał o bliższe szczegóły, lecz nie wiele się dowiedział,—ten, który wszystko kilku słowy mógłby objaśnić i wytłomaczyć, nie przemówił ani słowa, tylko z wlepionemi w dziecko oczyma siedział nieruchomie. Lekarz snać doświadczony, zrozumiał to, wiedział że wrażenia pierwszej chwili niepodobna usunąć; odłożył zapytanie na później, zapisał lekarstwa, kilka razy zalecił baczne przestrzeganie jego zarządzeń co do pielęgnowania Leny i poszedł.

Lekarz snać jeszcze myślał o dziecięciu, bo szedł powoli i nie patrzał przed siebie, gdy mu zastąpiła drogę czarno ubrana kobieta i nieśmiało zapytała o zdrowie Leny. Znając cierpienia ciała i duszy, zrozumiał lekarz pytanie Eleonory; nie wiedział kto ona, lecz czytał w oczach, że od tej odpowiedzi zależy jej spokój, może nawet życie.

— Lekka gorączka,—za kilka dni będzie dziecko zdrowe — odpowiedział spokojnie, z tym spokojem, właściwym lekarzom zawsze, nawet gdy kłamią matce czy ojcu, że dziecięciu nic, że wkrótce będzie zdrowe. Ukojenie tylu bolów i niepewności, ocalenie niejednego życia pielęgnujących matek niech staną na szali, a pewno o wiele przeważą ciężar grzechu kłamstwa, które taki ma cel.

Eleonora odeszła po powtórnem zapewnieniu, a na ustach jej zawisły słowa błagalnej modlitwy o życie biednej Leny.

Tak upłynęły trzy dnie i czwarty zawitał porankiem. W kościele widziano co dnia czarną postać kobiety, leżącej krzyżem przed obrazem Bolejącej Matki. Co dnia zatrzymywała się ta sama kobieta na kilka kroków przed mieszkaniem Ryszarda i wyczekiwała lekarza, który regularnie dwa razy dziennie chodził do chorej Leny. Z jakąż niecierpliwością liczyła minuty i sekundy do jego powrotu, jak zadawała sobie sama nieustannie pytania: dlaczego on tak bawi długo, dlaczego dziś dłużej niż wczoraj, dłużej niźli rano? Ona liczyły czas nie zegarem lecz niepokojem, którego tętna nieregularne, przyspieszone.

A może lekarz bawił istotnie dziś dłużej niż zwykle?

Lekarz tymczasem myślał także o młodej kobiecie, a myśl jego była tym razem smutniejsza i dłużej zasiadła na czole, czekając darmo rozwiązania.

Na białej pościeli leżała Lena, z twarzą rozognioną, spiekłemi usteczkami, a w oczach paliła się gorączka. Przez chwilę była spokojna, lecz trwało to niedługo. Gorączkowy niepokój owładnął nią i zaczęła rzucać się, jakby chciała powstać i biedz gdzieś, uciekać z tej białej pościeli, z ciemnego, zimnego pokoju.

Przy łóżku siedział ojciec wpatrzony w swe dziecko, lecz prawie bezwładny ze znużenia. Od czterech dni oka nie zmrużył, na chwilę nie opuścił łóżka swej chorej dzieciny. Oczy zapadły, twarz zbladła z wysiłku i zmartwienia, w całej postaci rysowało się złamanie, graniczące z rozpaczą.

Lekarz stał oparty o poręcz łóżka, a głęboka troska malowała się na twarzy. Szukał sposobu ocalenia dziecka, ale snać położenie było trudne, bo dotąd czoło nie rozpogodziło się, zamyślenie nie chciało ustąpić.

Lena tymczasem coraz bardziej była niespokojna. Gorączkowy oddech walczył w jej piersiach, a urywane jakieś tony, nieuformowane w słowa, zdradzały burzącą się chorą myśl.

Wreszcie głos stawał się wyraźniejszym.

— Mamo, mamo! wołało dziecko, a w głosie tym przebijał ból skojarzony z płaczem!

Ojciec załamał ręce, zwiesił głowę na piersi i zdawał się być głuchym i nieczułym. Po chwili, jakby myślą szczęśliwą oświecony, porwał się z siedzenia i nie mówiąc nic ruszył ku drzwiom.

Lekarz bawił coś długo. Eleonora trawiona niepokojem, dawała folgę tysiącznym domysłom, a wszystkie czarno barwiły wyobraźnię. Czekała ciągle, niepokój wzmagał się z każdą upłynioną chwilą, gdy uszu jej doleciała rozmowa dwóch służących. Słowa ich zadzwoniły Eleonorze grobowo, serce matki zabiło gwałtownie i — parę ledwie chwil upłynęło a czarna postać, jak cień przesunęła się przez kurytarz wiodący do pokoju chorego dziecka.

Matce brakło tchu, serce zdawało się że rozsadzi pierś. Zatrzymała się chwilę, by zaczerpnąć powietrza.

W tym samym momencie roztwarły się drzwi, w których ukazał się Ryszard. Zdawał się spieszyć, a widok Eleonory niezmierne na nim zrobił wrażenie. W jednem jego spojrzeniu malował się cały dramat, a błaganie, którego usta nie wypowiedziały, miało najwymowniejszy wyraz w całej postaci.

Ujął Eleonorę za rękę, a przyprowadziwszy ją do łóżka Leny, wyszeptał:

— Ratuj dziecko — nasze.

Ostatnie słowo brzmiało jeszcze ciszej, nieśmielej.

Lena już tuliła się do piersi matki. Po pierwszym wykrzyku „mamo” usteczka jej nie mogły wypowiedzieć ani słowa. Gorączka jeszcze wrzała w całem ciele, serduszko szybciej uderzało na ercu matki, a główka wsparta na jej ramieniu, zaczęła się zwolna uspokajać.

Lekarz patrzał na to wszystko, a czoło jego zamyślone teraz dopiero się wypogodziło. Zadowolenie malowało się na twarzy, gdy nieznacznie cofnął się ku drzwiom i zniknął.

Przy łóżeczku chorej Leny, gdzie przedtem czuwał Ryszard, siedziała Eleonora. Jedną ręką trzymała główkę dziecięcia, w drugiej tuliła gorącą rączkę. Usta jej piły oddech chorej, a oczy śledziły każde poruszenie pięknej twarzyczki.

Ryszard, oparty o poręcz, patrzał na te cudowne leki, a oko jego błądziło od główki najdroższej córki do tej, co mu ją ocaliła, a którą błagał:

— Ratuj dziecię *nasze!*

Miłość macierzyńska, to talizman potęgi niezrównanej; ona z ratunkiem przybywa tam, gdzie wszystko już moc swą straciło. Jeśli należy wierzyć w cuda, to na pierwszej karcie trzeba zapisać te, które miłość zdziałała macierzyńska.

Główka Leny, spoczywająca na dłoni matki uspokoiła się zupełnie, oczy patrzały spokojnie, jakby w zachwycie spoczywając na twarzy tej, do której życiem całem tęskniła. Powoli oczka się przymykały, rzęsy kładą się na dolnej powiece i Lena zasnęła z pięknym obrazem matki w duszy.

Matka patrzała ciągle na swe dziecię; zdawało się, że pragnie napoić wzrok tym drogim widokiem, który w zaraniu szczęścia, przed laty siedmiu, tak mile jej się uśmiechał. I teraz widziała, jak wówczas, uśmiech na usteczkach Leny i myślą przeniosła się w te dnie szczęścia, i po raz pierwszy po wielu latach zamarzyła. Usteczka poruszały się, jakby pod wpływem sennej jakiejś rozmowy, a ucho matki dosłyszało cichy szept:

— Mamo moja, ty mnie już nigdy nie porzucisz?!...

Serce matki zapłakało, łkanie tłumione wydobywało się z piersi, o ucho odbił się głos inny.

— Leno, przebacz mi, nie opuszczaj tego dziecięcia, nie opuszczaj mnie — dodał ze wzrastającem drżeniem w głosie.

Eleonora płakała głośniej, a serce kołatało tak silnie, jakby chciało pierś rozsadzić.

— Przebacz dla miłości naszego dziecka.

— Mamo, mamo — zawołała Lena, budząc się i powiodła niespokojnem znów okiem dokoła, a widząc matkę przy sobie, zarzuciła jej rączęta na szyję. Matka tuliła swą dziecinę do piersi, całowała złotą główkę i już teraz nie wstrzymywała łez, któremi dusza resztę smutku wypłakać chciała.

— Ty nas już nie opuścisz mateczko? pytała Lena kilkakrotnie — ja myślałam, że cię już nigdy, nigdy nie zobaczę. Ale teraz już zawsze pozostaniesz przy twojej Lenie i ojcu, prawda, mamo?

Ryszard klęczał przy łóżeczku Leny i wzrokiem błagalnym dopowiedział to, czego dziecię wysłowić nie mogło.

Matka okrywała pocałunkami swą Lenę.

— Zostanę — wyszeptała.

Dłoń jej przycisnął Ryszard do ust, nie mogąc znaleźć słów na podziękę za tę pociechę.

Lena z każdym dniem była zdrowsza. Przy jej łóżeczku siedział Ryszard z Eleonorą, rozmawiając o minionych dniach. W rozmowach tych opowiedzieli sobie całą przeszłość, teraz dopiero tłomacząc niejedną, dawniej niezrozumianą rzecz.

Historya ich była krótka.

On, młody, majętny i rwący się do życia, miał kolegę jeszcze ze szkół, z którym po kilku latach niewidzenia spotkał się znowu. Przyjaźnił się z nim dawniej, więc i teraz rad odnowił stosunek, odwiedzając go nieraz i do siebie zapraszając. Odwiedziny Ryszarda w domu kolegi były coraz częstsze: W domu zastawał Ryszard siostrę kolegi, Eleonorę. Dziewczę rzadkiej piękności, wykształcone, tak przypadło do gustu młodzieńcowi, że już nigdzie nie chciał w swoich kołach bywać, tylko wciąż przesiadywał w skromnej kamieniczce, w której Eleonora z bratem mieszkała.

Cóż dziwnego, że się pokochali. On, pełen najszlachetniejszych porywów kochał całą duszą, ona przylgnęła do niego całą siłą uczucia. Wielką musiała być ta miłość, skoro zdołała zwalczyć wszystkie przeciwności, jakie stały na drodze ich szczęścia. Ryszard musiał walczyć z przesądami tej warstwy społecznej, do której należał, a którym ulegał jego ojciec. Opierał się ojciec, opierali krewni, lecz miłość uczyniła Ryszarda tak wymownym, czyny jego od czasu zakochania się w Eleonorze tak na jego korzyść świadczyły, że wreszcie zezwolono.

I Eleonora nie bez walki przystąpiła do ołtarza. Biedna dziewczyna była dumną, bardzo dumną. Nie dopuściłaby żadną miarą myśli i posądzenia, iż idzie za Ryszarda dla majątku, nie chciała popaść w podejrzenie, iż na niego zastawiła sidła, ażeby *zrobić dobrą partyę.* Lecz w końcu uczucie prawdziwe, szlachetne, zwyciężyło. Eleonora była żoną Ryszarda.

Szczęśliwi nad wyraz, wyjechali za granicę. Eleonora cieszyła się każdą nowością jak dziecko, a szczęście i zadowolenie czyniło ją jeszcze piękniejszą. To też Ryszard patrząc na nią zdawał się z każdym dniem bardziej zakochanym. Pochlebiało mu przytem, że często słyszał liczne pochwały urody swej żony, która nawet w pośród najpiękniejszzch kobiet za granicą, powszechną na siebie zwracała uwagę. Uśmiechał się nieznacznie gdy nieraz wchodząc z nią do sali koncertowej, lub przechadzając się po parku usłyszał:

— Jaka piękna!

Ile razy zbliżył się do Polaków zamieszkałych za granicą, przekonywał się, że Eleonora nadzwyczaj się każdemu podoba. Posiadała ona obok urody, łatwość w obejściu i wdzięk niewymowny, którym czarowała wszystkich. Wszedłszy w towarzystwa wykwintne, nabyła w krótkim czasie swobody takiej, jakby lata całe wśród tych ludzi przeżyła. Piękno, wdzięk, wykształcenie i dowcip uczyniły ją w krótkim czasie ulubienicą tych wszystkich, którzy się do niej mogli zbliżyć.

Kto tylko mógł garnął się do pięknej Eleonory.

O ile to z jednej strony pochlebiało Ryszardowi,—bo była niejako ogólną aprobatą jego wyboru, o tyle powodem składania hołdów jego żonie i uwielbianie jej prawie, budziło nowe jakieś, nieznane dotąd uczucie: *zazdrość.* Zdawało mu się, że tem większe ma powody do zazdrości, gdy widział jak Eleonorze pochlebia to ogólne podobanie się, jak coraz więcej i więcej znajduje upodobania w tem, że ją otacza coraz liczniejsze grono wielbicieli.

Eleonorę, trzeba przyznać, bawiło to wszystko. Wrodzona bodaj czy nie w każdej kobiecie pewna doza zalotności, i u niej się obudziła, a znajdując bardzo wiele materyału, rozwijała się.

Tymczasem zazdrość Ryszarda nie ustawała, przeciwnie z każdym dniem, z każdą chwilą zwrastała. Eleonora zrazu tego nie uważała, teraz dopiero spostrzegła, jak od czasu do czasu w oczach Ryszarda przebija się, chociaż przelotnie, zazdrość, która z czasem barwiła się nawet gniewem.

To ją ubodło. Czuła się obrażoną, bo rozumiała dobrze, ile zazdrość mężowska uwłacza godności kobiecej, tembardziej, że nie poczuwała się zupełnie do winy. A wszakże zalotność choćby najniewinniejsza jest błędem podobnie jak zazdrość — Eleonora tego nie pojmowała.

Chcąc przerwać nić zalotności — jak sądził — a siebie samego uwolnić od powodów do zazdrości, powrócił Ryszard do kraju. Uspokoił się, a choć i przedtem nie robił jej wymówek i zarzutów, znać w nim było zmianę. Płonne podejrzenia znikły, a miłość znowu zajęła całe jego serce. Dziś nowy węzeł łączył go z Eleonorą. Był ojcem pięknego dziewczęcia. Nazwano ją imieniem matki bo też do niej jak dwie krople wody była podobna.

Znowu szczęście zawitało pod ich dach.

Dziecko oddano piastunce, a że było trochę wątłe, wysłano na wieś. Matka trochę była chora więc musiała pozostać w mieście. Lekarze zabraniali jej samej karmić wątłą dziecinę.

I znowu wszystko było jak dawniej. Zdrowa i szczęśliwa zajaśniała Eleonora pięknością budzącą podziw.

Do domu Ryszardowstwa garnęli się wszyscy pragnąc poznać osobiście piękną Eleonorę, a poznawszy pragnęli widzieć ją jak najczęściej. W sercu Ryszarda obudziła się znowu zazdrość, która na czas jakiś była uśpioną. Rosła z dniem każdym, aż wreszcie przyszła do wybuchu. Posypały się wymówki bez liku, podejrzenia bezpodstawne i zarzuty, czyniące ujmę czci Eleanory.

Biedna kobieta płakała!

Sceny podobne powtarzały się teraz zbyt często. Ryszard stawał się szorstkim, a gniew owładnął nim tak dalece, że go żona prawie poznać nie mogła. Płakała często, lecz w końcu duma zwyciężyła. Posądzana niesłusznie, nie myślała usprawiedliwiać się, chciała zwyciężyć inną bronią, tą miała być miłość. Wiedziała, że ją Ryszard kochał bardzo, nie mogła teraz nawet przypuszczać by to uczucie już znikło. Nie zmieniła więc w niczem swego postępowania, sądząc, że Ryszard przypatrzy się temu lepiej i uzna swój błąd, przeprosi żonę i znowu zapanuje zgoda.

Stało się inaczej.

Ryszard coraz był gniewniejszy, popędliwszy. Zarzuty i wymówki z jego strony nie miały końca. Ona słuchała wszystkiego pozornie obojętnie. Aż raz cisnął jej w oczy zarzut najcięższy,—posądził ją, że dla majątku poszła za niego, że dla zdobycia sobie świetnego stanowiska udawała tylko miłość...

Eleonora nie mogła z oburzenia wymówić słowa. On wybiegł wzburzony i dnia następnego nie pokazał się wcale. Upłynął tydzień cały, a Ryszarda nie było ani żadnej od niego wiadomości. Kiedy po trzech tygodniach powrócił, zastał dom pusty. Eleonory nie było. Szukał jej daremnie. Rozpytywał wszystkich, ale ani śladu nie mógł odkryć.

Eleonora była już daleko. Skorzystała z wykształcenia, i jako towarzyszka samotnej jakiejś pani opuściła kraj. Więcej o Ryszardzie nie słyszała. Nie wiedziała dlaczego ją opuścił na tak długo, posądzała go o obojętność, a nie chcąc być zawadą, nie chcąc być posądzaną o chciwość majątku, wyjechała. Duma ubogiej niegdyś dziewczyny była najdotkliwiej obrażoną.

Dziś dopiero po latach tylu dowiedziała się prawdy. Ryszard był u ojca. Zirytowany, z domu wyjechał nic żonie nie mówiąc. Zastał ojca chorego i w dwa tygodnie potem odprowadził zwłoki na cmentarz.

* * *

— Jak ty mogłaś myśléć, że ja cię kochać przestałem? — pytał teraz Ryszard, przyciskając dłoń Eleonory do serca.

— Tyś pewno i o mnie tak sądził, gdyś mnie nie zastał w domu. Bóg wielką zesłał nam próbę, dziękujmy Mu za dzień dzisiejszy.

Lena patrzała z radością na swą drogą matkę i ojca.

— Wiesz, mamo, tatko myślał, żeś umarła i mnie tak mówił. O! i jabym także żyć nie mogła bez ciebie, mateczko — dodała obejmując matkę za szyję.

— Będziesz żyła, ty moja pieszczoszko!

— Wszyscy będziemy szczęśliwi — powiedział ojciec, pojąc się widokiem swoich drogich.

Lena już była prawie zdrowa, tylko twarzyczka jeszcze przybladła, czekała powrotu rumieńca.

Rano leżała jeszcze w łóżeczku, gdy ojciec z matką przyszedł do niej, ubrany jak do wyjścia.

— Dokąd tateczko wychodzi?

— Pójdziemy z mamą do kościoła, ty leż jesz cze trochę, aż my powrócimy.

— Dobrze, mój drogi ojczulku, tylko wracajcie rychło — prosiło dziecko.

Ucałowali swój skarb i wyszli.

Wczesna jeszcze była godzina. W kościele prawie pusto.

Wyszedł ksiądz przed ołtarz.

Dziwna była cisza. Każde słowo księdza słychać było wyraźnie, a cichy szept modlitwy dwojga kochających się małżonków niósł dziękczynienie przed tron niebieski.

* * *

I znowu był wieczór cichy, pogodny. Na jezio rze ta sama płynęła łódź, tę samą pieśń śpiewał Włoch przewoźnik. Łódź sunęła lekko po fali. Lena klaszcząc w dłonie szczebiotała to do ojca, to znowu do matki, a szczęście pogodne opromieniało twarze dwojga kochających się małżonków.

KONIEC.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie (1808 — 1832) przez *K. Estreichera* (wydanie drugie) we Lwowie. 1882 r.

Ktokolwiek i kiedykolwiek pisać będzie o Polu, jednym z najpopularniejszych niegdyś poetów polskich, ten przedewszystkiem przeczytać winien powyżej przytoczone dzieło, z którego dowie się, gdzie i co Pol napisał, i co o nim napisano; znajdzie w niem, jeśli nie rozwiązanie, to wyjaśnienie wielu zagadek psychicznych dość zawikłanych. Pol bowiem należy do tych poetów naszych, których geniusz, osobistość, nie przestaną na długo budzić podziwienia i zdziwienia w czytelniku.

Wszystko, co dotąd o nim mówiono i pisano, było błędne, albo co gorsza, stronnicze; dopiero zasłużony Estreicher stanął na stanowisku czysto objektywnem, zebrawszy w swem mozolnem studyum mnóstwo szczegółów, na pozór drobiazgowych i małoznaczących, w istocie zaś nadzwyczaj ważnych, bo mogących służyć za niewyczerpane źródło do pewnych wniosków o życiu i pismach Pola, o genezie jego twórczości i okolicznościach, które jej towarzyszyły.

Okazuje się, że Pol z imienia i rodu nie był Polakiem. lecz myślą, sercem i czynem stał się niezaprzeczenie najdroższym synem naszej ziemi. Możliwie dokładna genealogia rodu Polów nakreślona przez p. Estreichera, jasno tej prawdy dowodzi. Tak, Wincenty Pol nie pochodził z rodziny polskiej, co wszakże w żadnym razie ujmy mu nie przynosi, owszem chlubą jest tak dla niego, jak i dla narodu, który umiał sobie zjednać tak niepospolity umysł i tak zacne serce. O ile podane przez p. Estreichera szczegóły są dokładne, sądzić nie możemy, lecz znając sumienność i przenikliwość autora w odkryciu prawdy, jesteśmy pewni, że nie napisał nic takiego, czegoby w każdym razie dowieźć nie mógł. Jakoż autentyczne listy, wyciągi z dzienników prywatnych i inne dokumenta w pośrednim zaledwie związku z naszym Polem zostające, wszędzie popierają jego wywody. Na książce p. E. śmiało polegać można. Otóż ani ojciec ani matka Wincentego nie byli Polakami, lecz zato ludźmi uczciwemi i inteligentnemi, którzy mieli współczucie dla nieszczęśliwego kraju. Krewni powinowaci Wincentego już ściślej związani z nami, gorący biorą udział w losach naszego ogółu.

W Mostkach, wśród zacnej rodziny Ziętkiewiczów, Pol poczuł się Polakiem i odtąd pozostał wiernym ziemi w której się urodził. Ukochał ją i jej losy podzielał, chociaż była nieszczęśliwą,— a może właśnie dlatego.

Pomijamy kwestyą nazwiska i narodowości, gdyż dziś przy takiem zagmatwaniu naszych stosunków międzynarodowych i politycznych, byłoby niedorzecznością sądzić z pierwszego o drugiej: dosyć przebiedz w myśli nazwiska tylu mężów, co tak dzielnie służyli i służą ojczyźnie, chociaż nazwy ich nie mają brzmienia polskiego, a nawet słowiańskiego.

Najważniejsze i najbardziej interesujące w studyum p. E. są okoliczności, wśród których upływała młodość poety, wpływy, otoczenie, towarzystwo, przyjaciele i koledzy, bo z tego wszystkiego można sobie utworzyć jasne pojęcie o rozwijającej się jego twórczości i o duchu, który go ożywiał. Po przeczytaniu dopiero szacownego studyum p. E. poetyczne utwory Pola stają się zrozumialszemi i nowego uroku nabierają.

Pomimo wielu objaśniających szczegółów, jakie autor podaje, zawsze pozostaje dla nas zagadką, dlaczego geniusz Pola uwydatnił się w formie tak czysto polskiej, iż mu nikt z największych naszych poetów nie wyrównał; dlaczego tak się zżył z życiem naszem i tak przejął naszą przeszłością, iż pomimo tylu świetnych gwiazd, które wtedy na widnokręgu poezyi naszej jaśniały, sam stał się gwiazdą własnem, zupełnie innem świecącą światłem?

Pol niezaprzeczenie z urodzenia był poetą, i w jakimkolwiek pisałby języku, zawszeby się odznaczył.

Ta odpowiedź nas nie może zadowolić, jak również wszystko, cośmy w tym względzie czytali i słyszeli (jak np. od ś. p. Wójcickiego, który w przyjaznych stosunkach z Polem zostawał). Praca p. E rozjaśnia nam nieco tę psychiczną zagadkę, lecz jej nie rozwiązuje. Możeby się to udało autorowi, choć w części przynajmniej, gdyby większą zwrócił uwagę na zapał, na duch czasu, który ożywiał nasze społeczeństwo przed i po 30-m roku. Czy autor nie chciał, czy nie mógł tego uczynić ze względów postronnych, w to nie wchodzimy, a przecież, według zdania naszego, z tego źródła płynie narodowy koloryt w utworach Pola. Miłość bezgraniczna, poświęcenie przypieczętowane krwią, zjednoczyło Pola z nami na wieki wieków.

Czy to poświęcenie było potrzebne lub nie, wyrokować o tem ani p. E. ani my prawa nie mamy... to rzecz historyi.

O wartości i charakterystyce poetycznych utworów Pola rozwodzić się nie myślimy, bo o tem dosyć pisano i dosyć jeszcze pisać się będzie. Poezye Pola pisane najprzód w duchu ludowym, potem ludowo-szlacheckim, wytworzyły w naszej literaturze pewien rodzaj epopei zwanej gawędą, wypowiedzianą językiem odrębnym, jakby z przysło-

wiów złożonym, lecz zawsze z głębi serc polskich wyjętym. Ztąd poezyi Pola niepodobne przełożyć na język obcy tak samo jak francuzkiego Beranżera, którego Pol miał nie lubić (?)...

Jest jeszcze jedna zagadka, której nam p. E. w swojem studyum nie rozwiązuje: dlaczego Pol, jeden z najpopularniejszych poetów naszych, tak prędko zapomnianym został, a nawet za życia jeszcze odarty ze swoich wieńców. Dlaczego krytyka przypomniała sobie po latach tylu, i zaniedbaną często formę i rymy częstochowskie, i formę manierowaną ukochanego niegdyś od całego narodu wieszcza; a zapomniawszy o *pieśniach Janusza*, o *przygodach Winnickiego*, o *pieśni o ziemi naszej*, o *Mohorcie* i tylu innych arcydziełach, zaczęła mu gorzkie czynić wyrzuty, że się powtarza, że wyłącznie hołduje tradycyom szlacheckim, że podnosi do apoteozy to, co nas zgubiło, wreszcie, że tak się rozmiłował w przeszłości, że stracił z oczu teraźniejszość i nie pojmuje przyszłości. Drukuje w Warszawie *Stryjankę*, gdy w niej wcale nie wesoły rozpoczął się taniec... Wszystkie te zarzuty krytyki, ostre przesadzone, często niesprawiedliwe, p. E. przypisuje zawiści, stronnictwom, koteryi nieprzychylnej poecie. Nam się nie zdaje. Tu widocznie naród odwrócił się od ulubionego i ukochanego niegdyś swojego śpiewaka, bo ten już go nie rozumiał, zapatrzony w inną stronę. Nie krytyka, nie stronnictwa, bez których żadne żywe społeczeństwo obyć się nie może, lecz konserwatyzm zgubił Pola. Nadto, najwięksi wielbiciele Pola nie mogą zaprzeczyć, że w ostatnich jego utworach brak życia, natchnienia, pełno powtarzań... Pan E. tłomaczy to bardzo sprawiedliwie, że Pol wtedy łamać się musiał z trudami powszedniego życia.. Rymami pracować musiał na kawałek chleba.

Troski domowe, to grób dla poety, a dotego poety, któremu lata i przebyte koleje siły już stargały.

O ile zarzuty czynione przez współczesnych są niesprawiedliwe lub przesadzone, rozwodzić się tu nie możemy, a może nawet to zawcześnie... zwracamy tylko uwagę czytelnika na tę uczciwą i sumienną pracę zwierzchnika książnicy Jagiellońskiej, jako rzucającą wielkie światło na życie i utwory Pola.

Spodziewamy się, że szanowny autor w dalszych swych studyach powie nam coś stanowczego o przekonaniach społecznych Pola, mianowicie też jaki wpływ na niego wywarła katastrofa galicyjska? Każdy to postrzega, że między Polem występującym, a kończącym swój zawód poetycki, ogromna zachodzi różnica.

Praca p. E. powtarzamy wielkiej jest doniosłości, mianowicie dla przyszłego bezstronnego biografa naszego poety, nie dziwimy się więc, że będąc odbitką czy przedrukiem z *Przewodnika naukowego i literackiego*, doczekała się już drugiego wydania. Jesteśmy pewni, że i trzecie nastąpi, tylko zupełniejsze i wszechstronniejsze, nie co do faktów, bo te autor zebrał troskliwie, ale co do ich ocenienia i wystawienia we właściwem świetle.

J. Pracki.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Lutego.

Szereg zabaw zimowych rozpoczął w tym roku wielki koncert w sali Kontinentalnego Hotelu, na korzyść dotkniętych pożarem Wiedeńczyków. Ponieważ po koncercie miał nastąpić bal, stroje paryżanek przedstawiały bardzo urozmaicony charakter.

Panie, które miały zostać na balu, strojne były w gazy, kwiaty i pióra, inne zaś poprzestały na skromniejszem ubraniu, przyjętem na zwykły wieczorek lub do teatru.

Przytoczmy tu kilkanaście najpiękniejszych toalet, jakie wpadły nam w oko: zacznijmy od balowych.

Odznaczała się między innemi suknia biała atłasowa, cała zahaftowana w bukiety, białą sieczką ze srebrnemi liśćmi: stanik do tego morowy, długi, obcisły, zachodzący na biodra, zasiany pączkami róż, malowanemi pędzlem. Kilka róż wpiętych między włosy, dopełniało ubrania.

Inna suknia składała się z atłasowej białej spódniczki i festonów z białego tiulu, upiętych fantastycznie. Draperye te ogarnirowane były szeroką frendzlą z białych konwalii. Stanik biały atłasowy, odpowiedni ma garnirunek.

Trzecia suknia błękitna atłasowa, naszyta białemi perłami w arabeski, ogarnirowana blądyną hiszpańską, również perłami naszywaną. Do tego naszyjnik z pereł i takiż dyadem na głowie.

Czwarta suknia także błękitna gazowa na atłasowej, podpinana cała bukietami z białych kamelii, nakrapianych różowo: kamelje te były świeże prosto zerwane z krzewu.

Piąta suknia morowa w odcieniu śmietankowym, ogarnirowana cała koronką wenecką, na czarnem aksamitnem podwleczeniu. Gerlanda z róż blado-różowych na głowie, dopełniała pięknego stroju.

Kolor lilla, oddawna zaniedbany, ukazuje się znów w balowych ubraniach. Odcień jego różowawy, bardzo ładnie wygląda przy świetle. Uważaliśmy suknię lilla z materyi pompadour, garnirunek do niej tworzyły pasy z tiulu, naszywane perłami w arabeskowy deseń.

Inna suknia biała morowa, cała nagarnirowana blądyną hiszpańską, miała stanik (*cuirasse*), z długim bawetem, zachodzący na biodra, wycięty w górze, z aksamitu lilla w heliotropowem odcieniu. Spódniczka podpinana była wiązkami heliotropów.

Uważaliśmy też wiele sukien ubieranych pluszem; jedna z nich różowa jedwabna, naszyta białą sieczką, miała plisy i draperye pluszowe w tymże samym kolorze: egretka z różowych marabutów przytwierdzona broszą dyamentową stanowiła ubranie głowy.

Pięknie też wyglądała suknia atłasowa w kolorze rubinowym, ogarnirowana wolantami z białej hiszpańskiej blądyny, przybrana draperyą pluszową.

Odznaczała się także śliczna suknia biało blądynowa, na różowej atłasowej. Spódniczka różowa kończyła się u dołu plisowanym wolantem, tylne bryty ogarnirowane trzema wązkiemi falbankami, tworzyły niezbyt długą powłokę. Na to spadała druga spódnica blądynowa, przytwierdzona powyżej falbanek gerlandą z drobnych różyczek bez liści. Stanik różowy atłasowy, bardzo długi, zasznurowany był na plecach. Od prawego ramienia, przechodziła ukośno przez stanik i przód spódnicy także gerlanda i łączyła się z garnirunkiem u dołu sukni.

Osoby, którechciały poprzestać na koncercie, nie biorąc udziału w balowej zabawie, miały po większej części suknie czarne, bądź atłasowe, bądź z aksamitu gładkiego lub wyrabianego w deseń; wszystkie niemal przybrane falbankami z hiszpańskiej czarnej blądyny, bogato naszywanej dżetem. U wielu z nich, zwłaszcza atłasowych i morowych, cały stanik zahaftowany sieczką, błyszczał jak emaliowany pancerz. Róże w rozmaitych odcieniach, wpięte do włosów i do wielkiego koronkowego kołnierza, pięknie dopełniały stroju.

Moda dżetów stała się panującą,—mnóstwo widzimy naszyjników, bransolet, szpilek do włosów i grzebieni dżetowych. Bižuterye ze srebra nie mniejszej używają wziętości.

Wspominaliśmy już o paskach ze skóry kozłowej, haftowanych jedwabiem, któremi zdobią suknie i kostiumy. Ta dziwaczna a kosztowna moda, przypadła do smaku wytwornym paryżankom, zapewne dlatego, że nie może być upowszechnioną, z powodu zbyt wysokiej ceny. W jednym z wielkich magazynów widzieliśmy stanik z czarnej skórki; długi, zachodzący na biodra. Wszystkie szwy i zaszewki zahaftowane kordonkiem jak wierzch u rękawiczek. U dołu idzie szeroki pas z aksamitu, pokryty cały dżetową pasmanteryą. Takiż stojący kołnierz, i szeroko odwinięte mankiety, dopełniają przybrania. Stanik zasznurowany w tyle, zakończony wielką kokardą z morowej wstążki czarnej; druga węższa kokarda wybiega z przodu poniżej stanika, trzecia spada u szyi.

Uważaliśmy także kostium wigoniowy w kolorze szarym; zdobiły go paski ze skóry duńskiej, haftowane różnokolorowym jedwabiem. Do tego kostiumu przygotowany był kapelusz cały pokryty skórą duńską, odpowiednio zahaftowaną, podbity pluszem *caroubier*, związany na takież pluszowe szarfy.

Kołnierzyki wielkie ciągle się utrzymują; wśród różnych fantastycznych modelów, uważaliśmy jeden bardzo łatwy do naśladowania. Na prostym muszlinowym pasku otaczającym szyję naszywa się dwa razy koronka, szeroka na sześć do ośmiu cali, spadająca jedna nad drugą. U szyi wybiega w górę plisowana ruszka, podwiązana wązką morową wstążeczką w kolorze śmietankowym lub odpowiednim do sukni.

Do codziennego ubrania także kołnierzyki składają się z dwóch muszlinowych falbanek, zakończonych szerokim obrębem i mocno zaprasowanych.

W układaniu włosów wielka panuje rozmaitość. Dają się nieraz widzieć włosy krótko obcięte ułożone w drobniuchne loczki na całej głowie.

Taka fryzura nadaje brunetkom nadzwyczaj ostry wyraz twarzy, blądynkom zaś jakąś owczą postawę.

Niektóre panie posypują te loczki białym pudrem, który zda się być koniecznem dopełnieniem tego układu włosów.

Mówiąc o ubraniu głowy, musimy tu przypomnieć bardzo ciekawą książkę zmarłego świeżo profesora estetyki, Karola Blanc, pod tytułem *Ornements de la femme.* Ten znakomity krytyk sztuki, podnosi ubranie kobiety do artyzmu; widzi on w zmieniających się modach, nietylko chwilo-

wy kaprys ale wyraźnie odbicie estetycznych pojęć cechujących każdą epokę. Przebiegłszy historyą mody od najdawniejszych lat, poważny autor przechodzi do czasów dzisiejszych. Zaleca usilnie kobietom, aby nie zrywając z panującą modą, nie były przecież jej niewolnicami, ale stosowały ubranie do własnych rysów, do wzrostu swego, do charakteru twarzy, słowem aby szukały przedewszystkiem harmonii, która stanowi piękno tak w naturze jak w sztuce.

Przytoczmy kilka uwag autora co do ubrania głowy, nad którem najdłużej się zatrzymuje.

Kobiety z mniej więcej klasycznemi rysami, mówi on, powinny zastosować panującą modę do układu włosów, jaki widzimy w posągach greckich: warkocz nizko upięty, włosy odrzucone ze skroni najlepiej im przypadają. Przeciwnie zaś do krótkich, okrągłych twarzy, właściwie przypada warkocz podniesiony nad czołem, ozdobiony kokardą. Czoło wysokie wymaga aby go pokryć loczkami lub strzępkami włosów, nizkie zaś należy odsłaniać ile można, inaczej nadaje rysom wyraz pochmurny i niemiły. Twarz szeroka z wydatnemi kośćmi policzkowemi, musi być sharmonizowana nasunięciem włosów na skronie. Polne kwiatki w delikatnych barwach, zgodne są tylko ze świeżą krasą lica, do cery przybladłej lepiej odpowiadają goździki, lewkonie, lub róże w mocniejszych odcieniach.

Poprzestajemy na tem zalecając czytelniczkom naszym piękne dzieło Karola Blanc, które obznajmi je wybornie z prawami estetyki w ubraniu.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wycieczka do Węgier przez Stanisława Smolkę nakład Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Dobroczyńca jakich mało, ksiądz Stanisław Staszic, jako filantrop i mąż stanu, z portretem: szkic biograficzny skreślony przez Jakóba Goldszmita. Cena kop. 20. Jest to praca bardzo starannie dokonana, mieści wiele szczegółów dotąd nieznanych i stanowi najlepszy dowód, jak poniewieranie przeszłością narodu jest niesprawiedliwe, skoro oprócz Staszica, wydał tylu mężów zasłużonych pełnych poświęcenia i zaparcia siebie.

Wydawnictw E. Orzeszkowej i S-ki wyszedł zeszyt XV w którym mieści się rozprawa p. t. Matki i karmicielki, napisał Antoni Skórkowski w Medowatej na Ukrainie. Zeszyt XVI obejmuje powieść p. t. Widma, napisaną przez Elizę Orzeszkową.

Wilija i na grobie lernika przez F. Łopatyńskiego — Wilno.

List T. T. Jeża o książce D-ra Piotra Chmielowskiego i jej krytykach. — Wilno.

Królewski dziadek opowieść z czasów króla chłopków Kazimierza Wielkiego, napisana dla rolników i rzemieślników przez Aleksandrę Marczewską. — Cena kop. 40.

Śpiewnik polski dla ochronek, szkół ludowych i wydziałowych, ułożył Jan Czubski, nauczyciel przy c. k. seminaryum nauczycielskiem męzkiem we Lwowie. Część II dla klasy drugiej i trzeciej. Wydane we Lwowie nakładem Towarzystwa Pedagogicznego.

Kalendarz Wileński na rok 1882, wydany w Wilnie nakładem E. Orzeszkowej i S-ki- Na układ bardzo staranny tego wydawnictwa pod względem literackim, złożyły się prace pierwszorzędnych naszych pisarzy. Jest to więc i kalendarz i książka bardzo zajmująca, której powodzenia życzymy całem sercem.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wyszedł w zeszycie XXV, stanowiącym początek tomu 3-go. Każdy zeszyt może być nabywany po kop. 50 na miejscu.

Braterska przestroga i rada, mająca na celu wytępienie u ludu naszego złych dążności wywołanych przez zubożenie z nadużycia trunków rozpalających: wszystkim ludziom dobrej wiary i woli do rozwagi i wprowadzenia wedle możności w wykonanie podana przez księdza F. K. Cena kop. 10, a dochód ze sprzedaży przeznaczony został na zaopatrzenie kilku Gospód chrześciańskich w odpowiednie książki do czytania. Jest to instrukcya dla pragnących zakładać Gospody chrześciańskie w miejsce szynków tak dziś upowszechnionych, jak je prowadzić, jak urządzić i z jakiemi zasobami przystępować do ich zakładania. Szanowny Autor był pierwszy który do otworzenia pierwszej takiej gospody w Nowem-Mieście przyczynił się, rzecz całą więc praktycznie traktuje.

Notatnik bibliograficzny za rok 1880 i pierwszą połowę, 1881 roku zebrał i wstępem opatrzył Henryk Gliński. Wydano w Petersburgu nakładem autora; skład główny tamże w księgarni J. Ungra na Kazańskim placu, za soborem, N. 7.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

Któż nie czytał pięknych „Listów A. E. Odyńca", zamieszczanych w „Kronice Rodzinnej". Otóż czytelniczki przypominają sobie zapewnie list do Juliana Korsaka pisany w 1829 r. a drukowany w „Kronice" w 1868 r., w którym sędziwy wieszcz nasz te słowa pisze o Adamie:

„Adam obdarzony jest prawdziwie wieszczym duchem, który niejednokrotnie w nim się objawiał... w tych czasach zajęty był pisaniem osobliwszego dzieła, p. n. *Historya przyszłości*,—pisze je po francuzku i ma już napisanych przeszło 30 arkuszy. Przejrzałem je tylko przelotem, ale on sam przeczytał mi niektóre ustępy... Opowiadanie zaczyna się od roku 2000 i ma obejmować dwa wieki.. Historya, jak mówił mi Adam, kończyć się ma na wejściu ziemi w stosunki z planetami, a to za pomocą balonów, które wówczas tak będą żeglować po powietrzu, jak okręty po morzu. Cała ziemia ma być pokryta siecią kolei żelaznych, które, jak wiesz, budują już w Ameryce i zaczynają na próbę budować w Anglii, a którym Adam wielką przepowiada przyszłość, twierdząc, że zmienią postać świata." A dalej znowu:

„A cóż dopiero mówić o cudach przemysłu, wynalazkach i odkryciach! To istny świat z *Tysiąc nocy jedna*, a wszystko tak poetyczne, tak cudowne, a tak na pozór prawdopodobne, że i pragniesz żeby tak było i wierzysz że tak być może. Nie dotykam szczegółów bo cały izbym dziś nie skończył — ale jak tu nie wspomnieć o całych flotach skrzydlatych balonów, latających w powietrzu jak żórawie lub gęsi; o całych miastach domów i sklepów budowanych z żelaza, na kołach, a pędzących ze wszech stron po kolejach żelaznych, na wielki jarmark pod Lizboną, dokąd znowu ocean przynosi w olbrzymich okrętach płody innych części świata... Jak nie wspomnieć o Archimedesowych źwierciadłach, ustawionych na ogromnych przestrzeniach, w ten sposób, że ogniste litery odbite w pierwszem, w oka mgnieniu odbijają się w ostatniem? O teleskopach, przez które można będzie z balonu całą ziemię a z ziemi widzieć co się dzieje na satelitach? *O przyrządach akustycznych, za pomocą których, siedząc spokojnie w fotelu przy kominku, można będzie słuchać dawanych w mieście koncertów lub wykładów lekcyi publicznych* i t. d. A wszystko to opisane tak prosto, tak naturalnie, jakby w tem nie było nic nadzwyczajnego — i Adam seryo utrzymuje, że wszystko to kiedyś być może i musi... I czemuż byćby nie miało? wieszcz a prorok to jedno, a Adam jest wieszcz nad wieszcze."

Otóż obecnie z powodu Wystawy elektryczności, francuzki dziennik *Enseignement parisien* zamieścił nader zajmujący artykuł p. t. „Prorok", powtórzony przez inne czasopisma, traktujący o Mickiewiczu jako obdarzonym cudownym darem przewidywania i przepowiadania przyszłości, czego dowodła poniekąd wspomniona wystawa.

Oto ustęp z owego artykułu.

„Przyszłość jest wynikiem teraźniejszości; badając ją i rozmyślając głęboko, mędrzec wyrabia w sobie zdumiewający nas dar tak zwanego *jasnowidzenia* (seconde-vue) pozwalający mu niekiedy przepowiadać nieomylnie dalsze wypadki. Na pięć lat przed upadkiem Cesarstwa, jakiś dziennikarz włoski, w zadziwiająco dokładnych określeniach przepowiedział katastrofę mającą położyć koniec panowania Napoleona III. Przepowiednię tę przesłał wszystkim członkom ciała dyplomatycznego, z nadmienieniem: Zachowajcie tę kartkę, bo za lat kilka zamieszczona tu przepowiednia stanie się faktem dokonanym."

„Józef de Maistre przepowiedział reakcyą monarchiczną; Wiktor Hugo, rozbudzenie demokracyi — Adam Mickiewicz lubił niekiedy silnemi rysami zakreślać z góry drogi jakiemi świat się toczy, pędzony politycznym i socyalnym ruchem. Już r. 1836 przepowiedział przywrócenie na tron Bonapartych w następstwie rewolucyi wojskowej, ustanowienie rzeczypospolitej we Francyi, wojnę domową proletaryatu z mieszczaństwem, i co najdziwniejsze — uosobienie dawniejszego porządku rzeczy i ostatni opór przeciw nowemu — w królu pruskim!..."

Następnie autor artykułu w *Reuseignement* dodaje, że nie same polityczne fakta ale i wszelkie wynalazki w dziedzinie nauki i wiedzy, przewidywał i przepowiadał Mickiewicz, i przytacza powyższy ustęp, znany Francuzom albo z Listów Odyńca, albo z artykułu zamieszczonego w ostatnim paryzko-lwowskiem wydaniu dzieł nieśmiertelnego naszego wieszcza.

„Gdyby Mickiewicz, mówi dalej autor artykułu, ogłosił był drukiem swoją „Historyą przyszłości" w r. 1829, kiedy ją pisał, uważanoby ją za majaczenie wylęgłe w mózgu szaleńca — dziś przepowiedziane w niej cuda już w części się urzeczywistniły. Lecz nie trzeba było być prorokiem, aby je przepowiedzieć przed pół wiekiem?"

Wiele podobnych wróżb przepowiedział Mickiewicz. Kiedy w r. 1830 będąc w Rzymie, znajdował się na wieczorze u kardynała sekretarza stanu w towarzystwie kilku współziomków i licznych gości, nagle wszedł przyboczny sekretarz J. Emmunencyi, przynosząc nadeszłą w tej chwili pilną depeszę dyplomatyczną. J. Em. wyszedł do swego gabinetu, aby ją przeczytać, — donosiła o wybuchłem powstaniu. Wróciwszy do salonu i widząc

zaciekawionych gości, J. Em. zawiadomił co donosiła, a zwracając się do Mickiewicza, dodał: Jesteś wieszczem, podam ci źródło którego przepowiedniom w dawnych czasach ślepo wierzono, wyciągniesz z niego horoskop przyszłości — i wskazując leżące na stole Pismo Św. rzekł: otwórz na traf tę księgę i przeczytaj wiersz na który palec twój padnie. Mickiewicz spełnił polecenie—w wierszu stało: „Nie ma człowieka”.

Nierozwiązaną i niepojętą dotąd pozostała jedna jego przepowiednia, którą w znanej swej *Improwizacyi* kończy temi słowy:

...Ród jego sławne bohatery,
A imię jego czterdzieści i cztery!

*** Pan Ernst Eckstein wydał nader zajmującą, wierszem napisaną książkę p. t. *Murillo.* Jest to utwór wysokiej wartości nader starannie obrobiony, pełen pięknych oryginalnych myśli, wyrzeźbiony *con amore.* W kilku świetnych zarysach, autor przeprowadza nas do cudnej Andaluzyi i Sewilli, których piękności znane są tym nawet co nigdy nie opuszczali domowego ogniska. W świetnych tych ramach ukazuje się 14-letni chłopczyna, z pendzlem i paletą w ręku, to Esteban Murillo. Jak młody robotnik, przechodząc od najniższych stopni dosięga szczytu, zostając artystą, pokonywa zwycięzko wszelkie przeszkody, ubóstwo, niechęć kolegów i współtowarzyszy, jak nareszcie pozyskuje łaski dworu i stokroć droższą nad nie miłość wymarzonej kochanki — oto treść i przedmiot ślicznego poematu, w którym p. Ernst Eckstein jako poeta opisowy, przewyższa takich nawet współzawodników jak Juliusz Wolff i Rudolf Baumbach. Piękny i potoczysty styl, budowa i układ dzieła, odznaczają się tak doskonałą harmonią i równowagą linii, iż można je przyrównać do pięknej greckiej świątyni, w której najdrobniejsze szczegóły są tak obmyślone i wykonane, aby jak najlepiej uwydatnić piękność szczegółów. Barwę miejscową autor uwydatnił o tyle aby znać było hiszpańskie pochodzenie bohatera poematu; zresztą jego Murillo mówi jak artysta tegoczesny, wyraża doskonale cierpienia i smutki dusz owładnię tych miłością piękna, każde słowo jego tchnie człowieczeństwem i prawdą.

Dotąd p. Ernst Eckstein znanym był jako wyborny humorysta, w *Murillo* odsłonił nową stronę wielkiego swego talentu.

*** We Frankfurcie nad Menem istnieje tak zwana *Wolna-Akademia,* której własnością jest rodzinny dom Goethego. Z okoliczności uroczystego obchodu 50-letniej pracy literackiej. J. I. Kraszewskiego, akademia ta przesłała mu dyplom na mistrza i członka honorowego. Takiż dyplom otrzymał także zmarły w r. z. doktor medycyny, profesor Bryk w Krakowie; członkami są między innymi pp. Stanisław Lesser, dyrektor sceny niemieckiej w Buda-Peszcie, Polak, tłomacz Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Fredry, oraz Wiktor Schrajber, który przekładami dzieł Kraszewskiego zwrócił uwagę tejże akademii (Hochstift) na niezwykłą działalność Nestora naszego piśmiennictwa. Głownem zadaniem tej akademii we Frankfurcie jest szerzenie oświaty i odwracanie myśli rodaków od marnej mamony do wzniosłych ideałów, jakie zdołały podnieść dawniejsze pokolenia z upadku moralnego i politycznego. Prezydujący dr. Volger, pierwszy powziął piękną myśl wykupienia z rąk profanów rodzinnego domu Goethego, dla uczczenia pierwszego narodowego genialnego poety. W przeciągu kilku dziesiątek lat skromny domek zamienił się w świątynię artystycznych i literackich zabytków i pamiątek wszelkiego rodzaju, odnoszącego się do Goethego i jego rodziny. W 1879 r. pewien bogaty kupiec frankfurcki, zapisał Hochstif'towi 150,000 tal.; protektorami tej instytucyi są: cesarzowa Augusta, król szwedzki i arcyksiążę Wejmarski. Kiedy też my zdobędziemy się na podobne stowarzyszenia, mające na celu uczczenie narodowych naszych wielkości i pamiątek!

*** P. J. Chrétien inżynier, któremu Paryż zawdzięcza wykonanie wielu robót miejskich, przedstawił na byłej wystawie elektryczności projekt urządzenia napowietrznej kolei elektrycznej po nad ulicami, która wspierałaby się na pięknej kolumnadzie stanowiącej zarazem ozdobę ulic i placów. Wiadomo że kolej podobna już od lat kilku istnieje w Nowym-Yorku, ale tam użyte są do niej zwyczajne maszyny parowe; pan Chrétien proponuje kolej elektryczną, daleko dogodniejszą, gdyż nieodstępne od kotła parowego iskry i dym, nie grożą pożarem i nie zaciemniają powietrza, a lekkie wagony przesuwają się zupełnie cicho. Jeźli projekt znakomitego inżyniera wprowadzony będzie w wykonanie, pozazdrościć będzie można paryżanom takiego ułatwienia komunikacyj; zniknęłyby z ulic tramwaje i ciężkie omnibusy tak utrudniające swobodny przejazd powozem i przejście przechodniom, i przynajmniej u nas, tyle narzęczające wypadków.

*** W teatrze *Renaissance* w Paryżu, w którym dotąd dawano tylko lekkie operetki, przedstawiają obecnie nową operę „Said” nieznanego dotąd kompozytora — panią Olagner. Były już i są kobiety astronomki, matematyczki, poetki, autorki nawet bohaterki, ale pani Olagner pierwsza sięgnęła po laury twórcy opery. Utwór ten jej osnuty jest na tle życia egipskiego i podoba się wysoką oryginalnością muzyczną, czerpaną z motywów wschodnich. Główną rolę stworzył i odtworzył ulubieniec publiczności tenor Capoul, którego tak zajęła nieznana ta nikomu opera iż nakłonił do jej wystawienia, objął rolę tytułową i śpiewa ją z taką werwą i ogniem, iż rozpłomienia najobojętniejsze temperamenta. Wnosząc z tej pierwszej próby i niezwykle dobrego powodzenia, możnaby pani Olagner świetną wróżyć przyszłość.

*** Donoszą z Puchberg (w grupie Alp styryjsko-austryackich) pod d. 19 z. m. „Od godziny czwartej po południu, sroży się straszny pożar lasów na górze Haltberg, odległej ztąd o półmili. Spłonęło już pareset morgów lasu, a silny wicher pędzi płomienie coraz dalej w kierunku wschodnim. Ogień dostał się na szczyt tej góry, wysokiej na 4,000 stóp. W całej okolicy ogromne zapanowało przerażenie; mieszkańcy opuszczają domostwa, uciekając z mieniem swojem. Dotąd spalony las należał do hrabiego Hoyos'a, obecnie płomienie szerzą się w lasach włościańskich. Straże pożarne czuwają nad bezpieczeństwem domów.

*** Plaga spekulowania biletami teatralnemi nietylko u nas grassuje, tylko że gdzieindziej umieją sobie radzić. Ristori zobowiązała się cztery razy wystąpić w Londynie—przekupnie zakupili największą część biletów, obiecując sobie bajeczne zyski. Ale spekulacya zawiodła ich najzupełniej. „Times” wydrukował wezwanie do publiczności, aby od wyzyskiwaczy nie kupowano biletów — wezwanie to powtórzyły inne dzienniki, a publiczność zastosowała się do niego. Na pierwszem przedstawieniu było nie wiele osób, które wcześniej nabyły bilety, na drugiem jeszcze mniej. Na trzecie przedstawienie ceny biletów bardzo spadły, na czwarte ofiarowano je za pół darmo, wreszcie za jakąbądź cenę, ale nikt kupować nie chciał. Ristori występowała więc przed pustemi prawie lożami i krzesłami, lecz materyalnie nic na tem nie straciła gdyż otrzymała całe należne wynagrodzenie—na które złożyli się przekupnie.

Gdybyż i u nas umiano zdobyć się na taki rozum i jedność!

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 19 Января 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 5, r. 1882.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

Zapomnieli wkrótce o panu de Trémeillan, myśląc tylko o swej miłości i swem przyszłem szczęściu. Armand przyrzekł matce iż wróci na obiad do Rennes, a ze wieczór się zbliżał, musiał pożegnać narzeczoną.

Odprowadził ją do pałacu i powiedział że nazajutrz będzie mógł przyjechać tylko rano na czas krótki, gdyż później musi zająć się interesami.

— Spodziewam się, odpowiedziała z uśmiechem, iż nikt nie będzie mógł powiedzieć że zaślubiam adwokata nie mającego klientów. O! z jakąż przyjemnością będę słuchać każdej twojej obrony!... A więc do jutra, drogi mój Armandzie.

Pochyliła ku niemu czoło na którem Armand złożył pocałunek, a następnie wsiadł do faetonika i wkrótce zniknął na zakręcie ulicy.

Małgorzata stojąc na peronie ścigała go oczyma, a gdy drzewa zakryły go już przed jej wzrokiem, westchnęła smutnie i udała się wolnym krokiem do sali jadalnej.

Armand d'Arçay zaczął jechać wolniej zbliżając się do domku leśniczego, znajdującego się przy końcu parku d'Albrays. Patrzył z uwagą na ten mały domek kryjący się teraz pod festonami bluszczu, na ogródek otoczony żywopłotem, jakby chciał dowiedzieć się od tych niemych świadków, strasznej tajemnicy zajmującej go tak głęboko już od kilku dni.

O kilka kroków dalej spostrzegł starą kobietę zbierającą suche gałęzie. Miała na sobie czarną, długą szubkę z kapturkiem, stanowiącą żałobne ubranie wieśniaczek bretońskich.

Podniosła trochę głowę chcąc zobaczyć kto jedzie, i wtenczas Armand poznał w niej Wilczycę, tę istotę na pół dziką i obłąkaną, która tak przestraszyła Małgorzatę modlącą się przy grobie matki.

Rola którą ta kobieta odegrała dwadzieścia lat temu, w procesie Jana Torquenié, i ważność złożonych przez nią zeznań, nasunęły Armandowi myśl że może i teraz będzie zmuszony odwołać się do jej wspomnień.

Zatrzymał konia i wysiadł, jakby chcąc coś poprawić w zaprzęgu; ale Wilczyca nie obejrzała się, jakkolwiek był tylko o parę kroków od niej.

— Cóż to już tak wcześnie zbieracie, matko, drzewo na zimę? zapytał Armand, udając że coś poprawia, — do mrozów jeszcze daleko.

Kobieta odwróciła się od niego, nie przemówiwszy jednego słowa. Armand nie zrażając się tem, mówił dalej:

— Ciężko to w waszym wieku zajmować się taką pracą; czyż nie macie nikogo coby wam mógł dopomódz; jesteście sami tylko na świecie?

— Co to pana może obchodzić, mruknęła oburkliwie kobieta.

— Widziałem was już nie raz w pobliżu pałacu. Wiecie zapewnie że panna de Trémeillan zostanie wkrótce moją żoną; chcę wam dać mój podarunek ślubny.

Wyjął z kieszeni parę sztuk złota, ale Wilczyca cofnęła się ze wstrętem, i odpowiedziała z gniewem:

— Nie jestem żebraczką: schowaj pan swoje pieniądze.

Potem udobruchała się nagle, i zbliżając się do Armanda, rzekła wpatrując się w niego bystro:

— A! to pan jesteś adwokatem?... Pan hrabia wspominał mi o panu... Wszak pan kocha bardzo?...

— Kogo?

— Mego pana.

— Kocham bardzo jego córkę, odpowiedział Armand z uśmiechem.

— Trzeba także kochać hrabiego... nie dozwolić aby mu wyrządzono coś złego.

— A któż chciałby to uczynić? zapytał Armand zdziwiony podobnem zaleceniem.

— Nikt, nikt, odpowiedziała z rozdrażnieniem. Czasem nie wiem sama co mówię.. Jestem już tak stara! dodała odchodząc.

— Zapewnie mieszkacie nie daleko ztąd? zapytał Armand, chcąc ją zatrzymać dłużej.

— Tam, odpowiedziała wskazując kijem domek leśniczego.

— Jesteście bardzo odważni, jak widzę, rzekł Armand, nie boicie się duchów?

Wilczyca upuściła wiązkę gałęzi, i zwróciła się nagle ku niemu.

— Czemu?... Jakich duchów?... Co pan mówi? zapytała utkwiwszy w twarzy Armanda czarne bystre oczy.

— Kilkanaście lat temu, młoda kobieta została tu otrutą.

— Umarli leżą spokojnie w swych grobach... Pocóż by tu przychodziła?... po co?

Zdawała się bardzo przerażona, a jej czarną pomarszczoną twarz przebiegało nerwowe drganie. Armand dostrzegł ten dziwny jej niepokój, a wiedział jak dalece wieśniacy bretońscy są łatwowierni gdy idzie o jakieś zabobony i legendy.

— Mówiono mi, rzekł ciszej z tajemniczą miną, że ją tu widują niekiedy błąkającą się koło domu, przy świetle księżyca.

— Kogo? o kim pan mówi? Ja nigdy nic nie widziałam... nic, nic zupełnie.

— Mógł ją widzieć ktoś inny. Mówię o Maryannie Torquenié; wszak znaliście ją, a nawet pielęgnowali w chorobie.

— No i cóż! czy skarży się że nie pielęgnowałam jej dość troskliwie? zawołała Wilczyca, która odzyskawszy już przytomność i zwykłą energię, patrzyła śmiało w oczy Armandowi.

— Nie, powiada że to nie mąż ją otruł.

— Nigdy nie słyszałam nic o tem, a gdyby pokazała się komuś rzeczywiście, musiałabym o tem wiedzieć, rzekła Wilczyca zwracając na Armanda podejrzliwe spojrzenie. Po co mi pan przypomina te stare dzieje? już dawno zapomniałam o wszystkiem.

Podniosła wiązkę gałęzi i odeszła wolnym krokiem do domu. Młody wieśniak, mieszkający tam także, odebrał od niej drzewo i wprowadził na schodki.

Armand wsiadł do powozu i pośpieszył do Rennes.

XIV.

Nazajutrz Armand d'Arçay wszedł do pana Rousseau w oznaczonej godzinie. Zastał go grzejącego się przed kominkiem, pomimo że dzień był gorący i pogodny.

Armand zbliżył się z pewnym wzruszeniem do tego człowieka, który przecierpiał tyle i na którym długie męczarnie tak straszne pozostawiły ślady.

Jakkolwiek słyszał, będąc prawie dzieckiem jeszcze, jak surowo potępiano opinije i sposób życia pana Rousseau, jakkolwiek samo już odegrane przez niego wychowwanie, nie dozwalało mu podzielać zasad byłego adwokata, nie podzielał jednakże i uwielbienia pana Dubourg dla postanowień cesarskich, ani też dzikiej jego nienawiści dla zwyciężonych w grudniu.

Uważał pana Roussau jako nieszczęśliwego który odpokutował aż nazbyt srogo za popełnione błędy, przebywając tak długie lata w pustyni Lambessa, i poświęcając dla swych zasad swe zdolności, przyszłość i zdrowie. Podobne nieszczęście budziło tylko w dobrem i szlachetnem sercu Armanda szczery smutek i politowanie.

Skoro Armand przywitał się i usiadł, pan Rousseau wziął ze stolika plikę pożółkłych papierów, i położył je na swych kolanach.

— Oto są, rzekł jąkając się i słabym głosem, papiery dotyczące sprawy Jana Torquenié... znajdują się w nich dowody i notatki, które zebrałem dawniej. Mogą być panu użyteczne.

Przycisnął papiery drżącą i wychudłą ręką

— Ale przedewszystkiem, dodał, chciałbym wiedzieć czy główni aktorowie tego dramatu żyją jeszcze.

— Wspominałem panu że widziałem Jana Torquenié; nie wiem co się stało z innymi świadkami badanymi w tej sprawie, ale Wilczyca jeszcze żyje.

— A! rzekł Rousseau, świadek bardzo ważny. Ale czy hrabia de Trémeillan żyje także?

— Tak, a nawet wkrótce zaślubię jego córkę.

Pan Rousseau zwrócił na Armanda spojrzenie pełne najżywszego zajęcia i zadziwienia.

— Ach.... pan się żeni... z panną de Trémeillan! zawołał.

Pochylił głowę i zamyślił się; potem zaczął przebiegać roztargnionym wzrokiem papiery leżące na jego kolanach, jakby potrzebował zebrać myśli przed rozpoczęciem rozmowy.

— Jeźli, odezwał się nakoniec, dzień ślubu pana jest tak blizki... nie będziesz miał czasu zajmować się... tym biedakiem. Może byłoby lepiej... powierzyć te papiery... któremuś z pana kolegów?...

— Wszakże pan sam powiedział mi wczoraj, że jest moim obowiązkiem bronić tego człowieka jeźli jest niewinnym, i otrzymać jego rehabilitacyę. Kocham bardzo moją narzeczoną, i gdy zostanie moją żoną urzeczywistnią się moje najdroższe marzenia, ale sądzę że potrafię pogodzić moją miłość z moim obowiązkiem...

— Tak pan sądzi?

Pan Rousseau wymówił te słowa z takim wyrazem powątpiewania, że Armand obraził się trochę.

— Dlaczego pan powątpiewa o mnie? Czy według pana, nie jesteśmy zdolni zrozumieć wielkości obowiązku?

— Nie sądzę tak bynajmniej, odpowiedział pan Rousseau łagodnie. Wierzę w najlepsze chęci...

najlepsze zamiary pana... odgaduję że posiadasz zacne serce i hart duszy... zdarzają się jednak okoliczności... nieprzewidziane... straszne... które mogą zniweczyć... najlepsze... najsilniejsze postanowienia.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nie rozumiem pana.

Pan Rousseau nie odpowiedział zaraz; poprawiał ogień na kominku z jakąś nerwową żywością, a potem wstał, przeszedł parę razy przez pokój i nakoniec stanął przed Armandem.

— Więc masz pan silne, niezłomne postanowienie zająć się sprawą Jan Torquenié, wyśledzić prawdziwych morderców Marcelina de Mortrée i Maryanny, i powołać ich przed sąd... dla udowodnienia niewinności... tego nieszczęśliwego.

— Tak, jest to moje niezmienne postanowienie. Ale do czegoż zmierzają te pytania? Czy pan uważa mnie za dziecko nie zdające sobie sprawy z tego do czego się zobowiązało? Czy nie dość że już raz zapewniłem pana o tem? Wszakże sam przyznałeś wczoraj, że jeżliby nawet mój biedny ojciec postrachem zmusił tego człowieka do przyznania się do nie popełnionych przez niego zbrodni, to obwiniać o to trzeba jedynie straszną chorobę która rozpoczynała się już rozwijać gdy prowadził śledztwo w tej sprawie. Działał pod wpływem obłąkania; nie był więc winnym...

— A gdyby też był? zapytał pan Rousseau, krzyżując ręce na piersiach, i zatapiając w twarzy Armanda bystre spojrzenie.

— Młody adwokat zadrżał i pobladł strasznie, pomimo to, jednak odpowiedział pewnym głosem:

— Czułbym silniej jeszcze mój obowiązek, i broniłbym tym gorliwiej tego człowieka.

— Dobrze, dobrze, panie d'Arçay... powiedział z żywością pan Rousseau. Posiadasz prawdziwie szlachetną duszę... jesteś odważnym... Powiem ci wszystko co zdołałem odkryć... To czego się dowiesz... wzbudzi w tobie bolesne... zadziwienie... Ale muszę cię upewnić przedewszystkiem... że wczoraj... wypowiedziałem ci moje prawdziwe zdanie o twym ojcu... Był bezwiednem narzędziem prawdziwych zbrodniarzy... dopomagał im nie będąc bynajmniej ich wspólnikiem... Nie może być odpowiedzialnym za to co uczynił.

XV.

Armand patrzył na pana Rousseau z zadziwieniem i ciekawością; pragnął dowiedzieć się do czego zmierzają jego słowa, i co znaczą te wszystkie oznaki ostrożności. Opanował go jakiś przykry choć nieokreślony niepokój. Przeczuwał nieszczęście, nie domyślał się jednak aby mogło być tak wielkie jak to które go czekało.

Rousseau milczał przez kilka minut, jakby chciał odpocząć i nabrać siły, a następnie rozpoczął opowiadanie. Było ono długie samo przez się, a przedłużało je więcej jeszcze jąkanie tego nieszczęśliwego. Postaramy się streścić je o ile możności.

— Musiałeś pan przeczytać uważnie sprawozdanie z zajmującej nas obecnie sprawy, zawarte w „Gazecie Sądowej", i dość rzeczywiście dokładne, przynajmniej co do faktów?

Armand zapewnił go że przeczytał kilka razy sprawozdanie i pamięta doskonale najdrobniejsze nawet szczegóły.

— Wybornie. Zacznijmy więc od głównego punktu, to jest od aktu oskarżenia. Znajdujemy już w nim ślady stronności, które następnie uderzają nas w oczy co chwila. Na czemże się opiera oskarżenie? Jakieś pogłoski, jakieś oszczerstwa powtarzane cicho, jakby w tajemnicy, przez stare plotkarki, a rozpowszechniane następnie przez hultajów mających złość do leśniczego za to że spełniał sumiennie swe obowiązki. Podstawą całego aktu oskarżenia są tylko jakieś nie ugruntowane na niczem pogłoski. Cóż z tego wynikło? Przyjąwszy bajkę za punkt wyjścia, trzeba ją było uczynić prawdopodobną; z tego powodu ponadkręcano fakta, przeistoczono charaktery. Przedstawiono wice-hrabiego de Mortrée, człowieka prawego i posiadającego głębokie poczucie honoru, jako nikczemnego rozpustnika, nie wahającego się odwdzięczyć leśniczemu za jego troskliwe starania i gościnność, zbałamuceniem jego żony. Maryanna, ta biedna Maryanna, tak szczerze, tak namiętnie kochająca męża, staje się zalotnicą, którą tak olśniły grzeczności szlachcica, że zapomina o swych najświętszych obowiązkach. Torquenié miał charakter szczery, i nie zawsze zastanawiał się nad tem co mówi, — zrobiono z niego człowieka gwałtownego, zazdrośnego i mściwego, słowem zdolnego do wszelkich zbrodni.

Namiętności polityczne wywierają tu także wpływ wielki. Pan de Mortrée ściągnął na siebie nienawiść okolicznej szlachty i podzielających jej przekonania mieszkańców Rennes, niezależnością swych wyobrażeń, i nie ukrywanem uwielbieniem dla zmian wywołanych przez rewolucyę. Sędziowie podzielali te przesądy, ten wstręt dla młodego i odważnego obrońcy nowych idei, to też pochwycili z radością sposobność przedstawienia go w jak najgorszem świetle, pokrycia śmiesznością.

— Nie sądź pan że chcę zupełnie uniewinnić wice-hrabiego de Mortrée; bynajmniej, przyznaję że zawinił, ale jeżeli uczucie jego było występne, to jednak nie skalał honoru człowieka który dał mu pomoc i gościnność.

Ale dajmy już pokój tym ogólnym spostrzeżeniom, a zajmijmy się faktami. Z trudnością i długo zbierałem te szczegóły, które przedstawię panu teraz; musiałem postępować bardzo ostrożnie aby nie zwrócić uwagi prawdziwych zbrodniarzy, prócz tego, obowiązki mego powołania i sprawy polityczne w których brałem udział, nie dozwalały mi zająć się gorliwie tą sprawą. Inaczej, jeszcze przed nieszczęsnemi wypadkami, które stały się powodem mego wygnania, byłbym wyzwolił Jana Torquenié z galer, a posłał tam na jego miejsce tych, co na nie rzeczywiście zasłużyli.

Zaraz od pierwszej chwili zrodziły się w moim umyśle pewne wątpliwości i podejrzenia. Nie ulegało wątpliwości że wice-hrabia de Mortrée obierał sobie najczęściej za cel swych przechadzek okolice pałacu d'Albrays, i że nawet niekiedy wchodził do parku późnym już wieczorem; ale czy rzeczywiście spotykał się tam z Maryanną Torquenié?

Nakoniec pewnego dnia, szczęśliwy przypadek dozwolił mi przekonać się że moje podejrzenia były zupełnie uzasadnione.

Wiadomo panu, że od czasu do czasu, sprzedają w gmachach sądowych akta i dokumenta dotyczące spraw rozsądzonych już od pewnej liczby lat. Otóż pewnego dnia, wchodząc do gmachu sądowego, spostrzegłem ogłoszenie uwiadamiające o podobnej sprzedaży i przyszło mi na myśl, że gdybym posiadał akta i dowody zaprodukowane w sprawie Torquenié, mógłbym w nich znaleźć jakieś poszlaki, nie dostrzeżone w ciągu jej przebiegu. Wiedziony tą myślą, nabyłem je wszystkie, i powróciwszy do siebie, przejrzałem uważnie.

Czy pan sobie przypomina że w akcie oskarżenia znajduje się wzmianka, ale bardzo pobieżna, o książce w niebieskich okładkach, znalezionej w kieszeni Marcelina de Mortrée? Był to jeden tom najpiękniejszego utworu Balzac'a: *le Lys dans la vallée*.

Sądziłem że znajdę w tej książce jaki bilecik, jaki dopisek, lub choćby słówko podkreślone ołówkiem, z którego mógłbym wyciągnąć jakieś wnioski, a wiadomo panu że umysł podbudzony chęcią rozwiązania jakiejś trudnej zagadki, staje się dziwnie przenikliwym. Przewracałem uważnie kartka po kartce, i nic nie znalazłem. Była to książka jak każda inna; dość zniszczona wprawdzie, ale marginesy były zupełnie czyste; nie znalazłem w niej żadnego dopisku.

Zacząłem pomimolnie czytać to mistrzowskie dzieło, i ulegając urokowi stylu i poetycznych obrazów i myśli który autor rozsypał tam tak szczodrą ręką, zapomniałem zupełnie w jakim celu przeglądałem tę książkę. Widać jednak że smutne dzieje pani de Mortsauf nie opanowały wyłącznie mej uwagi, gdyż nagle podskoczyłem w fotelu, jakby prawda której tak długo szukałem napróżno, teraz stanęła mi przed oczyma. Wzruszenie jakiego doznałem w tej chwili było tak nagłe i gwałtowne, jak uderzenie piorunu.

Dostrzegłem na karcie którą czytałem wtenczas, drobniutkie czarne punkciki między wierszami; a ponieważ znajdowały się one tuż pod niektóremi literami, przyszło mi na myśl pisać obok siebie litery oznaczane kropkami w pierwszych kilku wierszach, i przekonałem się że tworzą wyrazy.

Czy pan pojmuje jakie uczucie opanowało mnie wtenczas? Książka znaleziona w kieszeni pana de Mortrée, służyła widocznie do potajemnej korespondencyi, a prawdopodobnie do korespondencyi miłosnej... Ale z kim?

Przepisałem po kolei wszystkie litery oznaczone punkcikami, i ukończywszy tę pracę, otrzymałem list, który panu zaraz przeczytam.

Wziął ćwiartkę papieru i zaczął czytać.

Był to rzeczywiście list bardzo kompromitujący panią de Trémeillan. Prócz zwykłych w takim razie wyznań i uniesień, uskarżała się na zimny, despotyczny i srogi charakter męża. Następnie wzywała pana de Mortrée aby przyszedł do niej tegoż dnia późnym wieczorem, w celu porozumienia się co do jej ucieczki z domu; zalecała mu aby udał się do jej wiernej Maryanny, która mu wskaże jakim sposobem będzie mógł wejść do pałacu.

Pan Rousseau złożył list i milczał przez kilka minut, tak chcąc trochę odpocząć, jako też aby się przekonać jakie sprawił wrażenie na Armandzie.

D'Arçay siedział z początku jak skamieniały, a następnie zawołał jakby nagle ze snu przebudzony:

— Więc to pani de Trémeillan była...

Pan Rousseau skinął twierdząco głową, a po chwili mówił dalej:

— Domyślasz się pan teraz zapewnie co potem nastąpiło. Wice-hrabia de Mortrée pośpieszył w oznaczonej porze do pałacu. Hrabia de Trémeillan, który, jak widać, powziął już jakieś podejrzenie, zszedł go tam niespodzianie, i wtenczas pan Mortrée uciekł, ale ścigano za nim, i został zabitym przez hrabiego, lub przez któregoś z jego wiernych służących. Ale trzeba było ochronić życie i honor prawdziwego zbrodniarza, i wtenczas, to wymyślono z szatańską przebiegłością ową bajkę o stosunkach między Marcelinem de Mortrée i żoną leśniczego. Wiemy już z listu że ta ostatnia była powiernicą hrabiny; widziano u niej kilka razy wice-hrabiego, i to posłużyło za podstawę do fał-

szywego oskarżenia, którem obciążono nieszczęśliwego Jana Torquenié.

Teraz zwróć pan uwagę na wypadki następujące po śmierci wice-hrabiego Marcelina.

Maryanna zachorowała nagle; dostała silnej gorączki. Nie ulega wątpliwości że musiała być w nocy świadkiem jakiejś strasznej sceny, i przerażenie oddziałało tak szkodliwie na jej zdrowie. Obecna przy rewizyi odbywającej się w jej domu, nie jest zdolna zdać sobie z tego sprawy. Patrzy na urzędników chodzących koło niej, badających jej męża, ale nie rozumie co się koło niej dzieje.

Lecz może odzyskać przytomność; może nadejść chwila w której będzie zdolna opowiedzieć co widziała w czasie tej strasznej nocy 25 kwietnia; w której będzie mogła podnieść głos w obronie męża oskarżonego niesłusznie, i wskazać prawdziwego mordercę Marcelina de Mortrée. Trzeba śpiesznie zapobiedz temu... trzeba pozbawić ją życia...

Maryanna została otrutą zanim odzyskała przytomność.

Czy odgaduje pan teraz komu ta śmierć była potrzebną, i kto kazał spełnić tę straszną zbrodnię?...

We dwa dni po morderstwie spełnionem na panu de Mortrée, na kilkanaście dni przed śmiercią Maryanny, hrabina de Trémeillan wyjeżdża nagle do Nicei, gdzie ma pozostawać trawiona boleścią i rozpaczą, dopóki jej śmierć nie wyzwoli.

Zamknięta w klasztorze nie będzie mogła wiedzieć co się dzieje po za obrębem jego murów. Nie dojdzie do niej wieść o sprawie toczącej się w Rennes, na drugim końcu Francyi; nie dowie się że w miejsce jej męża skazano człowieka niewinnego. Jakoż umarła samotna, opuszczona od wszystkich, wkrótce po przyjściu na świat małej córeczki, panny de Trémeillan, twej narzeczonej.

Oto, panie d'Arçay, główna treść dramatu który chciałeś poznać.

Teraz idzie o przywrócenie czci Janowi Torquenié. Chcąc dojść do tego celu, trzeba dowieźć sądownie że hrabia de Trémeillan był mordercą Marcelina de Mortrée, i że Maryanna Torquenié została otrutą z jego rozkazu.

Powierzam panu te papiery; od pana zależy spełnić to co nazywasz „swym obowiązkiem".

XVI.

Armand przez kilka godzin po rozmowie z panem Rousseau był jakby nieprzytomny. Spotkał go cios tak gwałtowny, tak nieprzewidziany, że wprawił go w odurzenie, nie dozwalając mu zebrać myśli.

Siedział długo przed swem biórkiem z oczyma utkwionemi w straszne papiery, przynoszące mu tę „pierwszą sprawę" o której marzył z takiem upodobaniem niedawno jeszcze, a która teraz stawiała go w tak okropnem położeniu.

Co czynić? Jakie powziąść postanowienie?

Chcąc uzyskać sądową rehabilitacyę Jana Torquenié, trzeba oskarżyć ojca Małgorzaty, a tem samem wyrzec się miłości tej, która miała za kilka dni zostać jego żoną, tej którą już tak dawno wybrał za towarzyszkę życia, i którą ukochał tak gorąco że z jej utratą, utraciłby nawet nadzieję szczęścia.

Z drugiej znów strony nie podejmując się obrony tego nieszczęśliwego, postąpiłby niegodnie, stałby się poniekąd wspólnikiem zbrodni popełnionej dwadzieścia lat temu przez ponurego właściciela pałacu d'Albrays, naraziłby się na ciągłe wyrzuty sumienia.

Nie przyszło mu ani na chwilę na myśl że pan Rousseau mógł się pomylić, że pani de Trémeillan mogła być zarówno niewinną jak Maryanna; nie próbował powątpiewać o prawdziwości dowodów, była ona aż nazbyt widoczną. List hrabiny wyjaśniał całą tajemnicę.

Pan de Trémeillan był nikczemnym mordercą; co więcej był człowiekiem podłym, który chcąc się uwolnić od odpowiedzialności za popełnioną zbrodnię, nie tylko dozwolił potępić niewinnego, ale jeszcze sam, z szatańską przebiegłością, przyczynił się do jego zguby.

Armand widział przed sobą tylko dwie drogi: wyrzec się Małgorzaty, złamać pyzyszłość, złamać serce tej drogiej i pełnej najszlachetniejszych uczuć istoty, lub też zniesławić się opuszczając tego nieszczęśliwego któremu tak uroczyście przyrzekł pomoc i opiekę.

Walka była długa i straszliwa, tak straszliwa że łzy spływały potokiem po twarzy nieszczęśliwego Armanda, gdy miłość i obowiązek staczały w jego sercu krwawą i zaciętą walkę, skazując go na niewysłowione cierpienia.

Wstał nakoniec bardzo blady, ale z mężnem postanowieniem spełnienia ciężkiego obowiązku.

Armand d'Arçay zdawał się zupełnie przeistoczonym w tej chwili. Nie był to już ten młody człowiek tak zwykle łagodny, spokojny, trochę rozpieszczony przez matkę i narzeczoną, marzący o życiu pożytecznem ale spokojnem i szczęśliwem, ale mężczyzna z charakterem silnym, mężnym, z twarzą bladą i pełną zapału. Boleść przenikająca jego serce, ale nie zdolna odwieść go od wzniosłego obowiązku, otaczała go jakąś aureolą męczeństwa.

Poświęciła więcej niż życie. Czuł że prawdopodobnie, gdy przebiegnie pewnym i śmiałym krokiem ciężką drogę którą zmuszony był obrać, umrze trawiony boleścią, a może nawet zabije tę którą kochał nad życie. Pomimo to nie chciał się cofnąć.

Chodził czas jakiś po pokoju z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z pochyloną głową, rozmyślając jakim sposobem będzie mógł udowodnić niewinność swego nieszczęśliwego klienta. Do tego celu mogła go doprowadzić tylko jedna droga: trzeba było otrzymać od hrabiego de Trémeillan i jego wspólników zupełne przyznanie się do winy.

Do tych wspólników można było z pewnością zaliczyć Wilczycę.

W sercu jego tliła jeszcze iskierka nadziei. Może też hrabia de Trémeillan, widząc jak rzeczy stoją, widząc rozpaczliwe swoje położenie, znajdzie jakiś sposób ocalenia swego honoru. Bądź co bądź Armand postanowił działać niezwłocznie. Czem poświęcenie było cięższem i boleśniejszem, tem śpieszniej trzeba je było spełnić.

Stał pogrążony w tych myślach, gdy wszedł Baptysta z oznajmieniem że jakaś kobieta pragnie się z nim widzieć, i czeka na dole.

— Cóż to za kobieta? zapytał młody adwokat.

— Nie wiem, panie.

Przy tych słowach skrzywił się tak samo jak w owym dniu gdy oznajmił Jana Torquenié.

— Dobrze, zejdę tam zaraz, odpowiedział Armand.

Zastał w ogrodzie młodą dziewczynę której po wierzchowność zwróciła jego uwagę. Miała na sobie czarną poszarpaną spódniczkę i połataną chustkę zakrzyżowaną na piersiach i związaną z tyłu, zapewnie dla ukrycia braku stanika.

Czarne, nastroszone jak u cyganki włosy, okalały twarz bladą o rysach bardzo pięknych i delikatnych. Tę śliczną twarz ożywiały wielkie czarne ogniste oczy, spoglądające z pewnym wyrazem dzikości czy też obawy.

— Czegoż chcesz ode mnie? zapytał Armand, patrząc na nią z zadziwieniem.

Podała mu list nie mówiąc ani słowa, i wsunęła śpiesznie ręce za chustkę.

Armand otworzył list który składał się tylko z kilku następujących wierszy:

„Panie!

„Nie dosyć jest rehabilitować ojca, trzeba jeszcze wyrwać córkę z nędzy i uchronić od hańby. Spotkałem tę nieszczęśliwą; żebrała o kawałek chleba, a wszyscy ją odtrącali. Ratuj ją i staraj się zapewnić jej uczciwą przyszłość.

Eugeniusz Rousseau."

Armand przeczytał ten list z niemałem zadziwieniem. W pierwszej chwili pomyślał że pan Rousseau postępował sobie z nim dziwacznie i bez ceremonii; rozgniewało go nawet trochę, że człowiek używający tak złej opinii w Rennes, wydaje mu prawie jakieś rozkazy i wskazuje obowiązki; lecz rozdrażnienie to trwało bardzo krótko, i Armand uznał, że jakkolwiek pan Rousseau wyraził się trochę niewłaściwie, to jednak w gruncie miał zupełną słuszność.

Ojciec jego i pan de Trémeillan — obłąkany i zbrodniarz, jak się wyraził stary adwokat—ściągnęli na tę nieszczęśliwą wstyd i nędzę, równie jak niegdyś na jej ojca. Skoro więc postanowił wynagrodzić krzywdę wyrządzoną przez nich, nie powinien wywiązywać się połowicznie tylko ze swego zadania. Obowiązkiem jego było obmyśléć dla Joanny Torquenié odpowiednie schronienie i zajęcie, ukoić jej boleść i, jak to powiedział pan Rousseau, zapewnić przyszłość uczciwą.

— Przecierpiałaś już bardzo wiele, wszak prawda? rzekł Armand zbliżając się do Joanny.

Zadrżała silnie i zwróciła na niego prawie osłupiałe ze zdumienia oczy. Pierwszy to raz ktoś przemówił do niej tak łagodnie i zdawał się litować nad jej losem. Wzruszenie jej było tak silne że przez parę minut nie mogła przemówić ani słowa, a potem nagle dwa potoki łez potoczyły się po jej policzkach i ukryła twarz w dłoniach.

— Nie będziesz już tak cierpieć nadal, odezwał się Armand skoro uspokoiła się trochę, tu, w tym domu, znajdziesz tylko słowa zachęty i pociechy. Uspokój się i bądź mężną; dokuczają ci i znieważają cię dla tego że jesteś córką galernika...

Joanna Torquenié zadrżała i rzuciła na Armanda to dzikie spojrzenie nadające jej pięknej twarzy tak ostry wyraz.

— Mogę ci zaręczyć, mówił dalej, że twój nieszczęśliwy ojciec został niesprawiedliwie skazanym, a wkrótce niewinność jego będzie udowodnioną i ogłoszoną urzędownie. Ci wszyscy którzy cię dziś znieważają, będą wtenczas ubolewać nad tem i okazywać ci największą swą życzliwość.

Zwróciła na Armanda zdumione spojrzenie, jakby nie rozumiała znaczenia słów jego.

— Zaczekaj tu trochę na mnie, odezwał się znów Armand; za kilka minut powiem ci co zamierzamy uczynić dla ciebie.

Udał się do pani d'Arçay, zajętej jakąś robótką przy oknie w salonie.

— Droga mamo, rzekł zbliżając się do niej przychodzę prosić cię abyś mi dopomogła...

— Do czego, Armandzie? zapytała ze swym spokojnym uśmiechem.

— Do spełnienia dobrego uczynku.

— O! w takim razie powiedz prędko o co ci

idzie, wszak wiesz że nie mogłabym ci odmówić nic podobnego. Komuż mogę być użyteczną?

— Idzie tu o młodą dziewczynę bardzo nieszczęśliwą, którą możesz wyzwolić z najstraszniejszej nędzy.

Opowiedział jej smutne dzieje Joanny Torquenié, ale nie wymieniając wcale jej nazwiska. Powiedział tylko, że zobowiązał się popierać rehabilitacyę człowieka który został niesłusznie skazany na galery, że córka tego człowieka była zmuszoną opuścić fabrykę w której pracowała, gdyż z powodu mniemanej zbrodni ojca, była wystawiona na ciężkie prześladowanie i pogardę, tak swych zwierzchników jak towarzyszy pracy. Dodał że ta biedna dziewczyna była pogrążoną w najstraszniejszej nędzy, i że byłby to prawdziwie dobry uczynek dać jej schronienie, czyściejsze i przyzwoitsze ubranie nad to które ma obecnie, słowem podać rękę pomocy aby rozpacz nie wtrąciła jej w otchłań zepsucia, zanim sprawa o rehabilitacyę ojca zostanie ukończoną.

Armand nie potrzebował namawiać długo matki, aby pozyskać jej opiekę dla swej protegowanej. Pani d'Arçay miała dobre i tkliwe serce, litowała się nad każdem cierpieniem, pragnąc szczerze widzieć koło siebie same tylko uśmiechnięte i szczęśliwe twarze, podjęła się też z największą chęcią zadania wskazanego jej przez syna.

— Jest właśnie, rzekła, niezajęty pokoik obok pokoju panny służącej; powiedz Iwonie aby się zajęła tą biedaczką: niech jej kupi ubranie, wyznaczy robotę i umieści w tym pokoiku. Biedne dziecko! Nie odmówię jej mojej opieki, a jeżli to dobra dziewczyna, będzie u nas żyć spokojnie i szczęśliwie, dopóki nie powrócisz jej ojca.

Armand podziękował matce i pośpieszył do starej Iwony.

We dwie godziny później, młoda i piękna dziewczyna w skromnym ale świeżem ubiorze bretońskich wieśniaczek, siedziała z robotą w ręku, przy oknie miłego i schludnego pokoiku!

Trudno było w niej poznać tę nieszczęśliwą, która kilka godzin temu, przebiegała ulice w łachmanach, prawie boso, z dzikiem i ponurem spojrzeniem. Widać było że sama nie mogła jeszcze uwierzyć w rzeczywistość tak nagłej zmiany w jej położeniu, siedziała zamyślona z robotą w ręku, z oczyma zwróconemi na wązką uliczkę, na którą wychodziło okno jej pokoiku. Skoro tam weszła, skoro ubrano ją w czystą bieliznę i całą suknię, przemawiając do niej łagodnie, upadła na krzesło rozczulona i rozpłakała się głośno.

Joanna Torquenié posiadała wiele dobrych skłonności. Charakter dumny i dziki uchronił ją od upadku i poniżenia, na jakie bywa narażona dziewczyna piękna, pogrążona w nędzy. Wychowana w domu przytułku dla sierot, oddalona z niego po ukończeniu piętnastu lat życia, i pozostawiona bez żadnej opieki, nie znała nigdy troskliwych przestróg matki, nigdy litościwa ręka nie wskazała jej dobrej drogi, ale posiadała wrodzoną uczciwość i prawość charakteru.

Wszystko co przecierpiała za winę nie przez nią popełnioną, okrutne prześladowanie jakiem społeczność obarcza dzieci, czyniąc je odpowiedzialnemi za przestępstwa ojców, wyrobiło w niej silne i głębokie poczucie sprawiedliwości. Przebyte cierpienia i niesłuszne prześladowania nie wysuszyły i nie zmroziły całkiem jej serca. Była jeszcze zdolną kochać, i teraz owiana dobroczynnem ciepłem chrześciańskiego miłosierdzia, czuła budzące się w jej duszy jakieś nieznane jej dotąd tkliwe uczucia i myśli.

Przyszło jej na myśl że nie podziękowała jeszcze tym, którym zawdzięcza'a tak błogą zmianę swego losu; położyła więc robotę i zeszła do ogrodu, sądząc że znajdzie tam kogoś co ją doprowadzi do pani d'Arçay, której wcale jeszcze nie widziała. Spostrzegła Armanda na podwórku przed stajniami. Wydawał właśnie rozkaz aby zaprzęgano do jego powoziku. Zaczynało się zmierzchać, ale nie chciał pozostawać aż do jutra w tak strasznej niepewności. Pragnął jak najprędzej rozpocząć z hrabią de Trémeillan rozmowę, mającą wywrzeć stanowczy wpływ na jego dalsze życie.

Zbliżył się do Joanny zapytując kogo szukała; dowiedziawszy się o co jej chodziło, rzekł łagodnie:

— Podziękujesz mej matce jutro rano. A!... miałem cię właśnie przestrzedz, abyś nie wymieniała jej swego nazwiska; dowiesz się później czemu nie życzę sobie tego. Nazwisko twego ojca mogłoby nasunąć mej matce bolesne wspomnienia.

Joanna zwróciła na niego swe wielkie czarne oczy.

— Mego ojca... panie, rzekła z pewnym wahaniem; gdzież on jest teraz? Czy go zobaczę?... Chciałabym prosić go o przebaczenie. Obeszłam się z nim bardzo źle... nie wiedziałam że został niesłusznie skazany na galery... sądziłam że jest rzeczywiście winnym, a tak wiele ucierpiałam z jego powodu, że znienawidziłam go nakoniec... Gdy teraz pomyślę co uczyniłam!... On chciał mnie przycisnąć do serca... a ja odtrąciłam go... przeklęłam...

— Ojciec twój przybędzie wkrótce do Rennes. Może za kilka dni będziecie już połączeni i szczęśliwi.

Kończąc te słowa, wsiadł do powozu i odjechał, a Joanna ścigając go pełnem wdzięczności spojrzeniem, nie mogła się domyśléć że pod tym pozornym spokojem kryło się tak bohaterskie poświęcenie.

XVII.

Koń Armanda przebiegł szybko kilka kilometrów drogi oddzielających pałac d'Albrays od Rennes. Poczciwe zwierzę znało dobrze tę drogę i wiedziało że pan jego śpieszył się zawsze gdy jechał w tę stronę.

Jednak, pomimo tak pośpiesznej jazdy, już się dobrze ściemniło gdy Armand wjechał z zacienioną ulicę, prowadzącą do pałacu. Przywołał służącego i prosił go aby dał baczenie na jego konia, a następnie wszedł na peron.

Zdawało mu się za każdym krokiem że mu serce pęknie. Bohaterskie postanowienie, które powziął w chwili uniesienia, zdawało mu się teraz przewyższać siłę człowieka.

Jakże zdoła znieść widok Małgorzaty witającej go z uśmiechem szczęścia i nieograniczonej ufności?

Wolałby nie zobaczyć jej dziś wcale. Jeźli będzie miał do czynienia z samym tylko hrabią, dojdzie pomiędzy nimi niewątpliwie do strasznej, gwałtownej sceny, ale to nie odbierze mu odwagi, będzie miał dość siły aby spełnić swój obowiązek; gdy przeciwnie nie śmiał ręczyć ze sobą, gdyby Małgorzata wybiegła do niego ze swym tkliwym uśmiechem i zaczęła jak zwykle mówić o ich wspólnej przyszłości. Czuł, że w takim razie głos jego miłości tak gorącej, tak młodzieńczej, mógłby zagłuszyć surowy głos obowiązku.

Gdy służący otworzył drzwi do salonu, Armand zatrzymał się chwilę na progu, niepewny, dręczony straszным niepokojem. Czuł że nogi uginają się pod nim, zdawało mu się że zemdleje.

Zobaczył hrabiego de Trémeillan siedzącego przy oknie, z gazetą rozłożoną na kolanach, ale jak zwykle pogrążonego w smutnem zadumaniu. Rzucił śpiesznie okiem po salonie i odetchnął swobodniej, hrabia de Trémeillan był sam zupełnie.

Armand zebrał całą swą odwagę, i zbliżył się do niego pewnym krokiem.

Hrabia nie spostrzegł go dotąd nie słyszał jego kroków, i dopiero gdy Armand zatrzymał się tuż przy nim, podniósł głowę, spojrzał na niego z roztargnieniem, i rzekł do służącego:

— Poproś panny Małgorzaty.

Poczem nie powitawszy nawet tego który za kilka dni miał zostać jego zięciem, wpadł w zwykłe osłupienie.

Armand powstrzymał służącego.

— Nie, zawołał, proszę nie mówić pannie Małgorzacie że tu jestem; przyjechałem tylko na chwilę i pragnę pomówić wyłącznie z panem, dodał zwracając się do hrabiego.

Pan de Trémeillan spojrzał na niego z widocznem zadziwieniem.

Armand przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niego.

— Panie hrabio, rzekł, przychodzę tu dziś w bardzo ważnej sprawie. Podjąłem się obrony człowieka, który, dwadzieścia lat temu, został skazany na galery, a który utrzymuje że jest zupełnie niewinnym. Znałeś pan kiedyś tego nieszczęśliwego i nawet dałeś o nim korzystne świadectwo. Proszę pana usilnie abyś zechciał odwołać się do swej pamięci, i powiedzieć mi czy pan sądzi że sędziowie popełnili rzeczywiście pomyłkę.

— Jakże się nazywa ten człowiek? zapytał hrabia, patrząc z roztargnieniem na końce swych palców.

— Jan Torquenié.

Armand siedział plecami do okna, gdy przeciwnie światło padało prosto na twarz pana de Trémeillan, na którą patrzył uważnie wymawiając to nazwisko.

Hrabia nie drgnął nawet, rysy jego pozostały zupełnie nieruchome.

— A! tak, przypominam sobie... Stare to już dzieje, mój kochany d'Arçay! Nie podpada wątpliwości że ten biedak był winnym; nikt wówczas nie powątpiewał nawet o tem. Ubolewałem jednak nad jego losem, gdyż spełniał sumiennie swe obowiązki.

— Więc pan sądzi że był rzeczywiście winnym? zapytał powtórnie Armand.

— Bez wątpienia... Zresztą sam przyznał się do wszystkiego. Przypominam sobie nawet że to ojciec twój, panie d'Arçay, otrzymał od niego te zeznania, a wiesz jak sumiennie i gorliwie spełniał swe obowiązki. Dziwna też myśl przyszła ci do głowy, odgrzebywać tak dawno zapomniene rzeczy! Radzę ci nawet wyrzec się tej sprawy, którą musisz przegrać koniecznie.

— Nie podzielam tego zdania, panie hrabio, odpowiedział Armand poważnie. Torquenié powrócił z galer kilka tygodni temu, i nie chce znosić dłużej skutków hańbiącej a niesprawiedliwej kary. Utrzymuje że jest niewinnym, protestuje przeciwko hańbiącemu go wyrokowi z przerażającą energią. Zapewnia że ma w ręku dowody swej niewinności, z których nie korzystał dotąd przez wzgląd na rodzinę zajmującą w tych stronach wysokie stanowisko, i szanowaną powszechnie; ale teraz przywiedziony do ostateczności niezasłużonemi cierpieniami, chce koniecznie oczyścić się, odzyskać cześć utraconą; chce powiedzieć prawdę i poprzéć ją dowodami. *(D. c. n.)*



N. 3. Kapotka zdobna piórami i koronką.

Opis do N-ru 5.

(Dalszy ciąg.)

Z przodu dodane są końce również koronką oszyte, przewiązane na wcięciu stanu wstążką. Wykrój szyi otacza bufka i koronka; na zapięciu dana długa kokarda.



N. 1. Teka na chustki do nosa. Patrz ryc. 2.



N. 4 Kapotka pluszowa.

N. 8. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem.

Krótka spódnica z gładkiej kolorowej materyi, wycięta jest u dołu w szerokie proste zęby, podszyte od spodu plisowaniem; z wierzchu przerzucona jest tunika ze srebrnej gazy, w wązkie i szerokie pasy, spuszczona z przodu fartuszkowo, z tyłu dopełniona długim prostym brytem suto podpinanym kokardami. Stanik bawetowy sznurowany z tyłu, ma dodane ubranie z gazy jedwabnej 35 cent. szerokiej, upiętej nakształt hiszpańskiego kaftanika, przewiązanego węzłem z przodu. Dolny brzeg stanika ogarnirowany falbanką, a z boku przepięty bukietem.



N. 5. Chusteczka z długiemi końcami i kokardami.

N. 6. Kołnierz i mankiety koronkowe.

N. 6. Kołnierz i mankiety koronkowe.

Szeroki kołnierz i mankiety założone na wierzch rękawów, stanowią bardzo eleganckie dopełnienie wizytowego ubrania; na r. 12—13 podajemy wzór takiego kołnierza.

N. 7. Kapotka pluszowa dla dziewczynki lat 3—5.

Jest bardzo praktyczna, gdyż z całą łatwością można uszyć ją własnoręcznie; odpowiednio do wielkości główki, bierze się owalne denko z białego jedwabnego pluszu, mające 120 do 130 c. obwodu, a 40—50 średnicy, podkładа mocną podszewką i wszywa cienki drucik w około brzegów, w odstępie zaś 6 cent. podszywa listewkę do wsunięcia mocnej elastyki, na którą denko marszczy się 46—50 c. obwodu. Brzeg wystający za przemarszczeniem, oszyty jedwabnym sutaszem, wygięty jest w fałdy podług ryc. 7 i ozdobiony jedwabnemi grelotkami; od spodu dane podgarnirowanie z koronki; do wiązania służą końce z wstążki 4 cent. szerokiej.



N. 7. Kapotka z jedwabnego pluszu dla dziewczynki lat 3—5.

N. 9. Ubranie balowe z gorsecikowym stanikiem.

Strojne przybranie zasłaniające całą spódnicę i tworzące tunikę, układane jest z różowego



N. 8. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem.



N. 2. Czwarta część haftu do ryc. 1. Patrz ryc. 35.

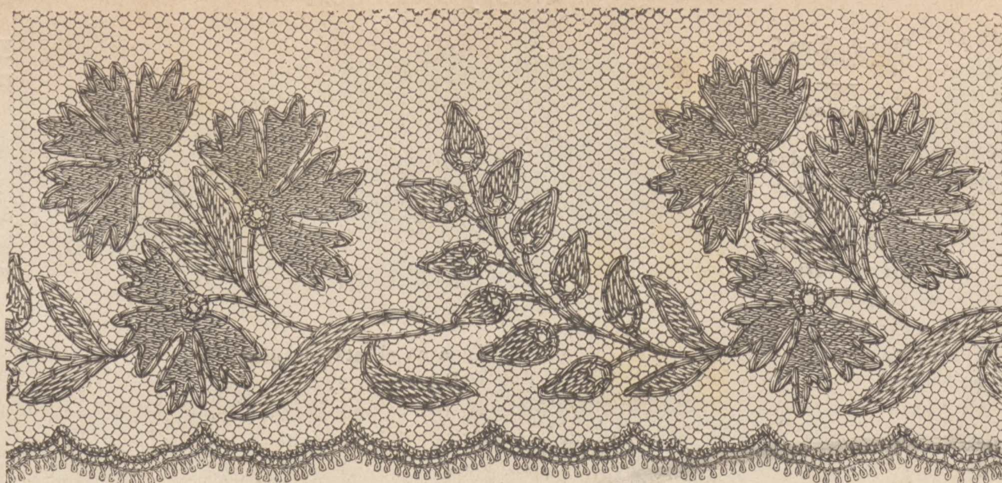


N. 9. Ubranie balowe z gorsecikowym stanikiem.

tarlatanu na różowej tiulowej spódnicy. U dołu naokoło sukni dana falbaneczka atłasowa, dalej zaś z jednego boku płaskie bufowanie, przemarszczane skośno, z drugiego zaś wązkie plisowane falbanki, zachodzące jedna na drugą. Z tyłu przerzucony lekko i wysoko podpięty prosty bryt tarlatanu. Stanik gorsecikowy z różowego atłasu, dopełniony jest wyciętą bluzką tarlatanową. Sute przybranie z atłasowej wstążki.

N. 10. Koronka wywodzona na tiulu.

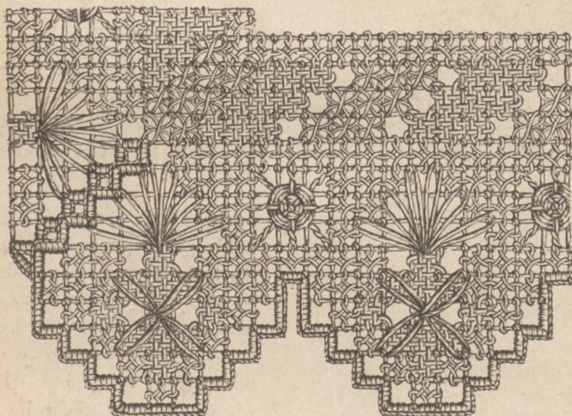
Odpowiednia jest do przybrania chusteczek na szyję, kołnierzy, sukien i t. p. i stosownie do celu może być odrobiona na białym brukselskim tiulu, z brzegiem oszytym pikotami, lub na tiulu czarnym, wywodzona nitką złotą i kolorowym jedwabiem.



N. 10. Koronka wywodzona na tiulu, do sukien, chusteczek i t. p.

N. 12—13. Kołnierz z koronki irlandzkiej. Honiton lace.

Ryc. 13 podaje w naturalnej wielkości, więcej niż połowę koronkowego kołnierza przedstawionego na ryc. 12. Jest to bardzo dobre naśladowanie koronki Honiton lace; tło zapełniają nitki okręcane; środki liści i kwiatów zasnute rzędami rzadkiego dziergania, idącemi skośnie, w środku schodzącemi się do siebie, przez co odznaczają się jakby grubsze nitki. Brzegi kołnierza oszyte pikotami.

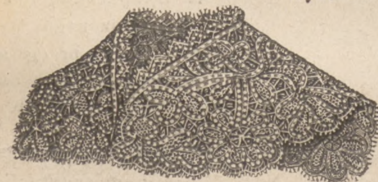


N. 11. Koronka z siatki gipiurowéj do krawatki ryc. 23 w N-rze 4.

N. 14. Zakończenie do krawatki.

Patrz ryc. 20 w N. 4.

Krawatka z brukselskiego tiulu, którą podaliśmy na ryc. 20 w N. 4, liczy 100 c. długości a 15 szerokości i zakończona jest wywodzeniem z dodaniem tasiemeczki koronkowej jak najcieńszej, naszytej niewidocznemi ściegami. Gałązki i wąsy wywiedzione są dość grubemi świecącemi nićmi, zaś środki kwiatów i liści zasnute cieniutką bawełną. Brzegi dolne oszyte plisowaną koronką 6 cent. szeroką.



N. 12. Kołnierz koronkowy. Naśladowanie Honiton lace. Patrz ryc. 13.

N. 15—17. Koszyczek ozdobiony kulkami pompons.

Pleciony jest z trzcinki złoconej i liczy 28 cent. długości, 20 szerokości a 9 głębokości; kulki zdobiące brzeg górny zrobione są z trzech cieni włóczki hamburgskiej, koloru blado-niebieskiego i łososiowego. Ponieważ kulki pompons używane są obecnie do przyozdobienia różnych przedmiotów, uczymy więc ich roboty na ryc. 16—17. Potrzeba nitkę z każdego cieniu owinąć 12 razy na linijce 5 cent. szerokiej, poczem nitki te przewiązać mocno w środku jedwabiem i przeciąć pentelki z boków. Na ryc. 17 widzimy złożone wszystkie cienie włóczek w ten sposób, aby ciemniejsze krzyżowały się z jaśniejszemi; rozczesanie włóczki dopełnia się przy pomocy szpilki, którą najpierw dzieli się grube nitki a potem rozczesuje grzebykiem.

N. 18. Koszyczek z woreczkiem do robót.

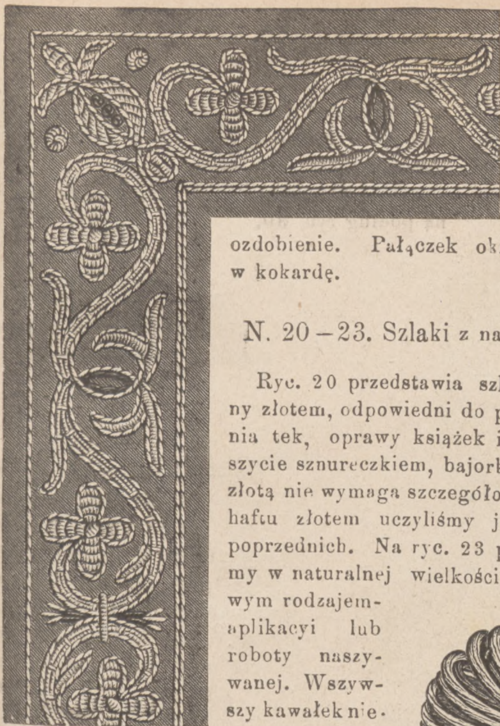
Odznacza się oryginalną nową formą, pleciony jest z sitowia i liczy 24 cent. wysokości



N. 13. Połowa koronkowego kołnierza, ryc. 12. Naśladowanie Houitton lace.



N. 14. Połowa wyszycia do krawatki, ryc. 20 w N-rze 4.



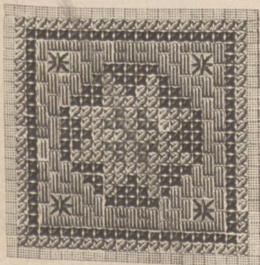
N. 20. Szlak z narożnikiem. Haft złotem.

a 58 obwodu; do boków koszyczka wyciętych półokrągło, przyszyty jest woreczek z jasno-oliwkowego atłasu. Okrągła podstawa koszyczka, 3 c. wysoka, pokryta jest bladoniebieskim atłasem; małe i duże kuleczki strzyżone z włóczki, stanowią przyozdobienie. Pałączek okręcony wstążką związaną w kokardę.

N. 15. Koszyczek zdobny kulkami strzyżonemi, zwanemi pompon. Patrz ryc. 16—17.

N. 20—23. Szlaki z narożnikami.

Ryc. 20 przedstawia szlak haftowany złotem, odpowiedni do przyozdobienia tek, oprawy książek i t. p. Wyszycie sznureczkiem, bajorkiem i nitką złotą nie wymaga szczegółowego opisu; haftu złotem uczyliśmy już w latach poprzednich. Na ryc. 23 przedstawiamy w naturalnej wielkości szlak z nowym rodzajem aplikacyi lub roboty naszywanej. Wszywszy kawałek nie zbyt grubego białego płotna w krosienka, odrabia się na niem haft, podkleja od spodu bibułką, a następnie wycina starannie podług konturów i niewidocznemi ściegami naszywa na tle; przyszycie aplikacyi przykrywa sznureczek złoty, którym wyszyte są i gałązki w deseniu. Haft odrobiony był podwójną nitką włóczką crevel; jak to ryc. 22 w zwiększeniu przedstawia, haft składa się z podłużnych skośnych ściegów, tylko kółeczka i kwadraciki robione są ściegiem płaskim. Szlak który przedstawia ryc. 21, zdobił piękną serwetę z pluszu ognistego koloru i oddzielony był od tła grubym złotym sznurkiem; do haftu użyty kolor oliwkowy, piaskowy, pawi, złotawo-żółty i blado niebieski.



N. 19. Kwadracik do ryc. 5 w N-rze 4.



N. 16. Związanie pierwszego pęczka na kulkę pompon. Patrz ryc. 17.



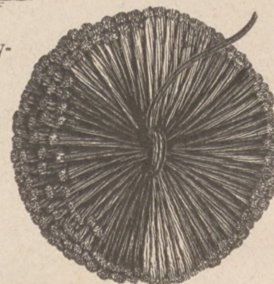
N. 18. Koszyczek z woreczkiem do robót.

N. 21. Szlak z nar żnikiem. Patrz r. 2

N. 26—28. Ubrania spacerowe i domowe dla panienek.

N. 26. Paletocik i berecik.

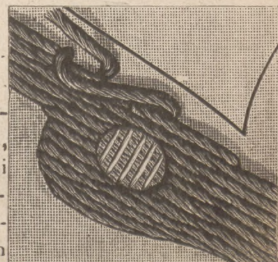
Paletocik puszczony z przodu a wcięty z tyłu, uszyty z materyału w drobną kratkę, miał pelerynkę, mankiety i kieszonki pluszowe. Berecik pluszowy zdobny skrzydełkiem i kokardą atłasową; mufka pluszowa podszyta atłasem i z jednego boku zakończona kokardą.



N. 17. Pompon strzyżony. Patrz ryc. 15—16.

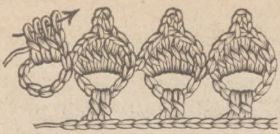
N. 27. Paletocik i kapelusz okrągły.

Paletocik wcinany do figury, uszyty z czarnego materyału, zdobny pletnią wełnianą i płaskiemi jedwabnemi guziczkami. Kapelusz biały filcowy ubrany i podszyty marszczonym białym atłasem i białem strusiem piórkiem.



N. 22. Część haftu do ryc. 23.

N. 23. Szlak haftowany do portjer, serwet i t. p. Patrz ryc. 21—22.



N. 24. Ząbki szydełkowe.

N. 28. Sukienka z szerokim kołnierzem.

Uszyta formą princesse z materyału w kratę, ma wzdłuż przodów dodany plastron atłasowy, szeroki przemarszczany marynarski kołnierz i mankiety są także z atłasu. Dół sukienki zdobią trzy falbanki plisowane; u dołu pleców puża kokarda atłasowa.

N. 29—30. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 10—13.

Może być odrobiona z aksamitu, sukienka lub wełnianego materyału w jasnym czy ciemnym kolorze, z dodaniem atłasu lub jedwabnego repsu, na fałdowany przód długiego paletocikowego stanika. Krając stanik podług zwykłej formy, trzeba przy pleckach naddać materyału na fałdy w środku karoczka i na klapki zachodzące na boczki. Oryginalne dopełnienie ubrania stanowi kieszonka 17 cent. długa, 15 szeroka, zawieszona na długim jedwabnym sznurze z kwastami; takimże sznurem można oszyć brzegi stanika. Spódniczka może być złożona w kontrafałdy, jak na ryc. 29 lub oszyta falbaną plisowaną i marszczoną podług ryc. 30.



N. 25. Ząbki szydełkowe.



N. 26. Paletocik i berecik.

N. 27. Paletocik wcinany i kapelusz okrągły.

N. 28. Sukienka z marszczonym kołnierzem.

N. 31. Sukienka z przemarszczeniem, dla panienki lat 8—10.

Uszyta jest z miękkiego wełnianego jasnego materyału; spódniczkę przykrywają trzy falbany 20, 15 i 12 cent. szerokie, u góry zamiast nagłówka, przemarszczane w drobne bufeczki. Stanik bluzkowy przemarszczony jest pod szyją i szeroko na wcięciu stanu. Wązkie, obcisłe rękawy zapięte od łokci na guziki u góry zakończone są bufami. *(D. n.)*



N. 29. Sukienka z paletocikowym stanikiem, dla panienki lat 10—13. Patrz ryc. 30.



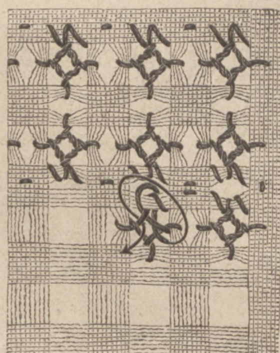
N. 30. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 10—13. Patrz ryc. 29.



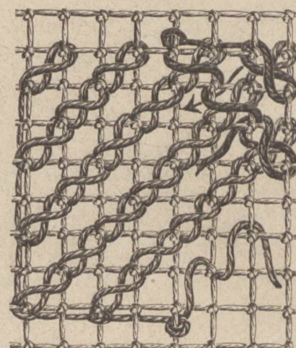
N. 31. Sukienka z przemarszczeniem, dla panienki lat 8—10.

N. 32. Suknia z vetement.

N. 33. Sukieneczka dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 17 w N-rze 4.



N. 34 Kratka ażurowa do ryc. 18 w N. 4.



N. 35. Wyszycie ściegiem krzyżowanym na siatce. Do ryc. 2.